



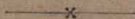
STUDYJA

NAD

10612

DARWINIZMEM

przez

Dra Stefana Pawlickiego.

WYDANIE DRUGIE, NIEZMIENIONE.



Cena 4 złp. = 80 centów = 1 marka i 60 fenigów.



W KRAKOWIE,

NAKLADEM WYDAWNICTWA DZIEŁ KATOLICKICH

Dra Władysława Milkowskiego.

1875.



STUDYJA NAD DARWINIZMEM.

STUDYJA

NAD

DARWINIZMEM

przez

10612

Dra Stefana Pawlickiego.



Wydanie drugie, niezmienione.



W KRAKOWIE
NAKŁADEM WYDAWNICTWA DZIEŁ KATOLICKICH
Dra Władysława Milkowskiego.
1875.

STUDYJA

10612

DARWINIZM



PAN 10612



K
19.12.99
A. 999

W Drukarni Leona Paszkowskiego
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.

Trzy rozprawy, które zeszyły się w tej książeczce pod wspólnym tytułem: »Studya nad Darwinizmem« znane są większej części Czytelników naszych z *Przeglądu lwowskiego*. Pierwsza i druga ukazały się w tomie III z roku 1872 (str. 145 i 513), a potem w osobnej odbitce, trzecia wreszcie w tomie V z roku 1873 (str. 249). Ponieważ odbitki dawno już wyprzedano, a treść ich, jak przedtem tak i teraz żywe budzi zajęcie, sądziłem, że sporządzeniem nowego przedruku dogodzę życzeniom wielu miłośników przyrody i filozofii.

Wydawca.

OSTATNIE SŁOWO DARWINA.

(Pierwsza praca Darwina »o początku rodzajów«. — Zmiana jego wyobrażeń. — Książka »o pochodzeniu człowieka.« — Autor został zupełnym materyjalistą. — Stosunek jego do niemieckich ateuszów i dawna hypokryzja. — Krótki przegląd systematów podobnych do darwinizmu. — Treść samego systematu. — Rozbiór krytyczny jego głównych czynników. — Autor jest wielkim uczonym, lecz słabym myślicielem. — Wybór naturalny. — Niejasne przenośnie materyjalistów. — Fałszywa analogija jest podstawą darwinizmu. — Logika Hegla i logika materyjalistów. — Darwin znosi rodzaje i gatunki, prawdziwa nauka ich broni. — Określenie rodzaju. — Rodzaje i gatunki nie są zmienne, jak sądzi Darwin, lecz stałe. — Dowody naukowe. — Darwinizm i geologija. — Darwinizm i nauka chrześcijańska. — Streszczenie całej sprawy darwinizmu przed trybunałem nauki).

Upływa lat dwanaście, jak Darwin, znakomity angielski zoolog, ogłosił dzieło »o początku rodzajów.« Imię jego odrazu nabrało wielkiego rozgłosu w świecie naukowym, do tego stopnia, że dzisiaj już liczna i ruchliwa szkoła uznaje go mistrzem i głową swoją. W téj jednak sławie było coś sztucznego, nawet nieszczérego.

Książka bowiem, jakkolwiek świadczyła o wielkim darze spostrzegania i niezmiernéj erudycyi, niczego stanowczo nie dowiodła, raczéj z góry rachowała na

zupełne i dobrodusze zaufanie czytelnika. Autor, zmuszony wydać ją prędkiej, aniżeli zamierzał, streścił w krótkości grube folijanty, napełnione notatkami z własnych, długoletnich badań i podróży. Dlatego dowody pozostawił w tece. Jeżeli mimo to hipotezę jego (bo inaczej nazwać nie można teorii bez dowodów) przyjęli materyjaliści z nadzwyczajnym zapałem, jest w tym dowód, że nie chodziło im o prawdę, lecz jedynie o zaspokojenie namiętności.

A jednak książka była dla nich niedogodną. Autor, na pierwszym miejscu, stawia Stwórcę; od Niego wywodzi pierwsze zwierzęta i rośliny na ziemi, które później przemienić się miały w dzisiejsze, tak liczne rody. Prawda, że owe przemiany jednych zwierząt w drugie, były wodą na młyn materyjalistów, ale nie życzyli oni sobie wcale mieć Stwórcę za młynarza. Dlatego pierwszy tłumacz Darwina, zmarły profesor Bronn, protestował przeciw tak nienaukowemu przypuszczeniu, gubiącemu i siebie i teorię całą. Jeżeli Opatrzność, tak on rozumował, stworzyła ośm lub dziesięć pierwszych form organicznych, to mogła wszystkie inne także stworzyć, a wtedy cud góruje nad prawami przyrody. My zaś ani Stwórcy ani cudów nie chcemy — precz z cudami!!

Inni pocieszali się, razem z Büchnerem, że autor, w gruncie ateusz, jedynie przez wzgląd na przesady biblijne swoich ziomków, wyraża się ostrożnie, prawowiernie. Inni nareszcie, jak Vogt, nie posiadali się z radości, że nareszcie »Stwórcę wyproszono za drzwi«, a nie pytając o osobiste przekonanie religijne autora, wynosili samą książkę pod niebiosa i zrobili z niej czymprędzej nowy wał obronny dla swoich, mocno już pokiereszowanych doktryn.

U nas, w Polsce, nie wiele zajmowano się Darwinem. Czasopisma nasze zawarły rodzaj cichój, bardzo wygodnej umowy, żeby nie wspominać nigdy o głośnych książkach z obcej literatury. Jeżeli czasem zrobią wyjątek z tej powszechnej zasady, to zazwyczaj bardzo późno i bez wyboru. Prawda i to, że zaraz po ukazaniu się książki Darwina, przechodziliśmy przez długi szereg strasznych wstrząśnień politycznych, wśród których trudno było zachować potrzebną swobodę myśli, aby zajmować się hipotezą jakiegoś zamorskiego zoologa. Dopiero w r. 1865, jeżeli dobrze pamiętam, dr. Matecki w Poznaniu miał kilka wykładów publicznych o Darwinie. Jako odpowiedź na nie, ukazała się w *Tygodniku katolickim* obszerna praca, która jednak, nieoparta na samej książce »o początku rodzajów« i w skutek tego wiele pomysłów p. Mateckiego przypisująca samemu Darwinowi, nie miała powodzenia wśród uczonych naszych.

W tym stanie rzeczy, przed dwoma laty, ośmieliłem się podać w *Przeglądzie polskim* (r. 1870, luty) rozbiór systematu Darwina tak, jak się on naprzód był ukazał. Pochwaliłem, co mnie miałem, że zasługuje na uznanie, a chociaż musiałem potępić jego myśl zasadniczą, starałem się oddzielić ją od pseudo-darwinizmu w pismach Vogta i Büchnera. Dowodziłem, że ci panowie niesłusznie wyciągają z Darwina wnioski materyjalistyczne i że on sam dalekim jest od nich, jak niebo od ziemi. W tych wszystkich twierdzeniach opierałem się na samym autorze, którego teorią rozbiierałem, biorąc to co napisał, za szczery wyraz jego przekonań.

Muszę tu wspomnieć, że jednego z moich uczonych przyjaciół, którego sąd wysoko poważam, ubođło

tak życzliwe, jak mówił, obejście się z Darwinem. Zarzucał mi, że Darwina nauka nic innego nie jest, jak zamaskowany materjalizm. Zarzutu tego przyjąć od razu nie mogłem, bo był więcej domysłem, niżli sądem dowiedzionym.

Pokazało się, niestety, że domysł był trafny. W Darwinie wielkie zaszło przeobrażenie. Idąc trop w trop za metamorfozami zwierząt, sam najfatalniejszej uległ metamorfozie, bo z człowieka, który wierzył w Boga, stał się ateuszem. Został nim jawnie, bo w sercu był nim zawsze, jak teraz wyznaje publicznie. I w tym jego obłuda. Smutne są dzieje tej obłudy.

Systemat Darwin został, zaraz po ukazaniu się, źle przyjęty przez mistrzów zoologii i paleontologii. Sam, w pierwszej swojej książce, ubolewa, że żaden sławniejszy uczonej do jego teorii się nie przychylił. Wielu sławnych fizjologów i zoologów wystąpiło nawet przeciw niemu. Za to materjaliści, niezrażeni jego wiarą w Stwórcę, a może schlebując sobie, że go nawrócą kiedyś, chwalili go ciągle i wytrwale, przy każdej sposobności i na wszystkie tony. Stawiali go na równi z Kopernikiem, Keplerem, Newtonem, a prof. Haeckel datuje nawet od niego nową erę ludzkości!

Jednakże, przy chwaleniu, nie zapominali domagać się spełnienia obietnicy. Księga »o początku rodzajów« była hipotezą bez dowodów; te przyrzekł był autor dać później. I jakoś zaczął się uiszczać zwolna z daniej obietnicy. W roku 1868 wydał obszerną pracę »o odmianach swojskich zwierząt i roślin.« (*Das Variiren der Thiere und Pflanzen im Zustande der Domestication* — przekład Carus'a,) która jednakże, podobnie jak pierwsza, co do pochodzenia człowieka roztopne zachowała milczenie.

Materyjaliści znowu czekali, chwalili, wybiegali na-przód, podsuwali mistrzowi gotowe już wnioski, utyskiwali głośno, że waha się uczynić krok ostatni, stanowczy. Nareszcie ukazała się dwutomowa książka »o pochodzeniu człowieka.« Prof. Carus, tłumacz drugiej pracy Darwina, zaraz z ukazaniem się angielskiego oryginału, ogłosił znowu przekład niemiecki w Stuttgardzie r. 1871. Praca ta, oddawna wyglądana, prześcigła najśmielsze oczekiwania ateuszów, bo wszystko, co tylko pp. Vogt i Büchner na wiatr rozpowiadali o naszym pokrewieństwie z małpami, poważny Darwin powtarza niby w imieniu nauki, na mocy badań śmiałych i sumiennych. Oddał on materyjalizmowi wielką usługę. Włał weń nowe, potężniejsze życie, zaczerpnięte niby z nieśmiertelnego źródła nauki.

W przedmowie, z cynizmem, godnym materyjalisty, oświadcza na samym wstępie, że jedynie dlatego nie zastosował już dawniej teorii swojej do człowieka, (czyli, że piękne słowa o wszechmądrości i wszechpotędze Stwórcy, którymi przed dwunastu laty hojnie szafował, były tylko pustą gadaniną), aby nie spłoszyć ludzi wierzących.

Ta sama przedmowa ma także swoją komiczną stronę. Dowiadujemy się z niej, że do wydania książki ośmieliły autora słowa Vogta, powiedziane w Genewie w r. 1869, że nikt już w Europie nie śmie bronić stworzenia rodzajów zwierzęcych i roślinnych (*personne, en Europe au moins, n'ose plus soutenir la création indépendante des espèces.*)

Że znany p. Vogt powiedział coś podobnego, nie dziwimy się temu wcale, ale nie rozumiemy, jak poważny człowiek mógł, na mocy takiej tuzinkowej po-

wagi pospieszyć z przystąpieniem do materyjalizmu. Zupełnie zaś niepojętą jest rzeczą, jak Darwin, zaraz po słowach Vogta, może ubolewać na tym, »że ze starszych i znakomitszych naczelników nauk przyrodzonych, niestety, wielu jeszcze opiera się« jego systematowi. Tylko w wieku XIX, przy zupełnym upadku logiki i pomieszaniu wszelkich pojęć czytać można podobne illogizmy na jednej i tej samej stronnicy!

Smutniejszym jednak objawem pozostaje obłuda. Nie można się było jój spodziwać po starcu, który jedną nogą już w grobie; ma przecież tyle powodów do zastanowienia się nad tym, co mówi i czyni. Starzec ten dodaje, że nic nie przynosi nowego, lecz powtarza tylko myśli znakomitych badaczy, i tu wylicza szereg znanych materyjalistów, pp. Vogta i Büchnera, nareszcie niezrównanego prof. Haeckla, któremu się pierwsza należy nagroda za wyprowadzenie człowieka z małych robaczek. Dla Haeckla, którego w żadnym razie nie można brać za poważnego myśliciela, zniża się angielski zoolog do niesłychanego pochłębstwa, powiadając, że gdyby tamten swoją »przyrodzoną historyją stworzenia« był wydał kilka lat prędziej, on, Darwin, nie byłby nigdy kończył swojego dzieła, uważając je za niepotrzebne.

Gdy więc w ten sposób Darwin, przedstawia się zupełnie innym, aniżeli przed dwunastoma laty, oczywiście to, co dawniej o nim pisałem, wymaga także odpowiedniej zmiany. Uważam się obowiązany ukazać publiczności tego pisarza w nowym świetle, nie wedle pierwszej jego pracy, lecz wedle ostatniej. Treść jój zamyka się, mniej więcej, w tych słowach: pierwsi ludzie byli okryci grubą sierścią, mieli

uszy szpiczaste, ruchome, nogi chwytkie, ciało zakończone muskularnym ogonem; bronili się straszliwými kłami, a mieszkali na drzewach, w jakimś kraju ciepłym i leśnym. (Tom I, str. 180, wyd. Carus'a.)

Oto ponętny obraz przodków naszych; na wymalowanie jego zbierał angielski zoolog kolory przez całe długie życie. Doprawdy, było się poco mozolić, aby skończyć na podobnym rezultacie w poważnych badaniach. Dziwić się trzeba, że lice tego starca nie zapłonęły żarem wstydu, gdy w złej godzinie przyszła mu pokusa coś podobnego napisać.

On sam powiada, że to nie jest nowe — i ma słuszność. Ale systemat jego o wiele jest dawniejszy, niż sam sądzi. Nie pp. Vogt i Haeckel go wymyślili, bo już tysiące lat przed niemi mniemano, że wilgotna ziemia, pod działaniem słońca, wydała pierwsze twory organiczne, które potym zmieniając się, pod wpływem zewnętrznych warunków życia i wewnętrznych popędów, rozrodziły się w dzisiejsze rośliny i zwierzęta, a w końcu i w ludzi. Myśl ta stara, jak sam materyjalizm; bez niej on zgoła istnieć nie może.

Greccy materyjaliści zawsze tak uczyli, o czym łatwo przekonać się można z ułamków po nich pozostałych. Przytoczę jednego Anaksymandra, ze szkoły jońskiej. Dowodził, że cała powierzchnia ziemi niegdyś okryta była morzem, i że w morzu powstały, drogą samorodztwa, pierwsze istoty organiczne. Następnie, gdy morze zaczęło opadać i cofać się, biedne ryby i ślimaki, pozostawione na lądzie, musiały, chcąc nie chcąc, zastosować się do nowych warunków życia. Potraciły zwolna swoje płetwy i skorupy i zamieniły się w bestyje czworonożne, a nareszcie w ludzi. Cały darwinizm zawarty

jest w téj nauce starożytnego mędrca, któremu wiele wybaczyć trzeba dla grubéj nieznamomości fizjologii i geologii, w jakiej zostawał, a więcéj jeszcze dla ciemności, w jakiej obracały się nawet wybrane umysły przed objawieniem Chrześcijaństwa.

W nowszych czasach, wszyscy ateusze powtarzali z nowomodnemi dodatkami naukę starego Anaksymandra, ale poważnemi dowodami nie umieli jéj poprzeć. Nie wspomnę tutaj o filozoficznych pomysłach wielkiego Goethego i sławnego Okena, których teoryje niegdyś całą Europę napełniły wrzawą, a zoologów wyzwały do namiętnej wojny domowej; ani o Erazmie Darwinie, dziadku Karola, którego teoryja widać odżyła w wnuku, jak choroby przodków powtarzają się w późnych potomkach. Ograniczę się do kilku Francuzów, ktoremu to narodowi dostało się od Opatrzności dziwne przeznaczenie, jak w dobrem, tak i w złem przewodniczyć innym ludom.

Już w roku 1748 niejaki p. Maillet ogłosił, pod pseudonimem Telliameda, w Amsterdamie »rozmowy indyjskiego filozofa z misyjnarzem francuskim.« Grasowała wtedy nad Sekwaną moda ubierania płaskich, jednodniowych dowcipów w poważną szatę wschodnich mędrców. Dowodził Telliamed, że rozmaite zielska zamieniły się w krzaki, a krzaki w drzewa, że ryby, wyskakujące często nad wodę, zrazu płetwami przez kilka chwil latały, potym, przypadkiem rzucone wiatrem na drzewa, nie mogąc powrócić do wody, ujrzały się w smutnej konieczności zostania ptakami. Wszystko, w tym systemacie, idzie jak z płatka. Człowiek był zrazu rybą, a za czasów autora, tak zaręczał, można było napotykać po morzach istoty, które

do połowy były jeszcze rybami, a do połowy już ludźmi. I ci kiedyś zamienią się w ludzi całkowitych.

Sława biédnego Telliameda trwała bardzo krótko. Zabił go Wolter swoim sardonicznym śmiechem. Oto, co napisał o nim: »Pan Maillet przekonał się w Kairze, że w odległej starożytności ląd stały był niezmiernym morzem. Zobaczywszy muszle, tak rozumuje: te muszle dowodzą, że przez tysiące wieków morze zalewało Memfis, a zatym Egipcyanie i małpy niewątpliwie pochodzą z ryb morskich.« Po tym wyroku Telliamed żyć przestał, i nie mówiono więcéj o nim. Jednakże myśl jego pokutuje daléj w pismach materialistów.

Na początku tego wieku (r. 1809) słynny Lamarck wydał »filozofiją zoologii.« Zrobiła więcéj wrażenia, aniżeli dzisiaj książka Darwina, wywołała niesłychane spory, a w końcu została zapomniana. Wspólny to los wszystkich błędów; wszystkie idą w zapomnienie i nie wracają więcéj. Lamarck zresztą nie był pospolitym człowiekiem, czasem ma nawet połyski gienijuszu. Jednakże i jemu przyszła pokusa dowieść, że człowiek, w prostéj linii, rodzi się z jakiegoś polipa. Pokusie téj uległ, i na niéj osnuł swój systemat. Uczył, że pierwsze robaki powstały z ciepłego szlamu (tak zwykle materializm zaczyna), te później zamieniły się w ślimaki, nareszcie w ryby, gady, ptaki, zwierzęta ssące i ludzi. Powód do ciągłych przemian upatrywał Lamarck w zewnętrznych warunkach życia, które zmieniając się, zmuszały organizm do przybrania odpowiedniego ustroju. Zwierzę, ujrzawszy się w nowych warunkach, wyrabiało sobie ciągle pracą i ćwiczeniem organ potrzebny, a dawniejsze organa, teraz już niepotrzebne, zmarniały. Ptak lądowy np., szukając pokarmu, wchodził do wody,

oczywiście z wielkim wstrętem, a zobaczywszy w oddaleniu zér jakiś, usiłował do niego dopłynąć, i póty przebiebrał nóżkami, dopóki palce, wciąż rozszerzane, nie porosły grubą skórą i nie zamieniły się w wiosła. Ptak wodny był gotowy. Inny ptak chodził na błota. Bezustannie w nich grzęznął, wyciągał nogi ze wszystkich sił swoich, dopóki, po wielu pokoleniach i niezliczonych ćwiczeniach akrobatycznych, nie został nareszcie żurawiem lub bocianem. Geś, zbyt głęboko pod wodą szukając zéru i nad miarę wyciągając szyję, zamieniła się w łabędzia. Z tych próbek osądzi czytelnik z łatwością wartość systematu L a m a r c k a i nie zadziwi się zapewne, że utonął w zapomnieniu.

Darwin dopięro pamięć jego wskrzesił nanowo. I cóż w tym dziwnego? Wszak swój swego chwali. Mając na zawołanie tylu znakomitych i wytrawnych botaników i zoologów, nie wspomina o nich prawie nigdy, bo nie przypadają do jego systematu. Za to L a m a r c k a bardzo wynosi, nawet powiada, że systematem swoim dobrze się nauce przysłużył. Czytelnicy niebawem się przekonają, że nic innego Darwin nie zrobił, jeno podjął myśli L a m a r c k a, przerobił, zastosował zgrabnie do obecnego materyjalizmu. Nawet o nowe dowody się postarał, którym doprawdy, warto przypatrzeć się zbliska.

Najważniejszym z nich jest sama teoryja autora, wyłożona w księdze » o początku rodzajów.« Autor przypuszcza ją dzisiaj jako powszechnie znaną, a co dziwniejsza, jako ustalony już pewnik naukowy. Nie ulega wątpliwości, że ona jest niezbędną przesłanką naszego pokrewieństwa z małpami, bo żeby w to uwierzyć, trzeba oczywiście wprzód być przekonany, że jedno zwierzę może się zamienić w drugie.

Mógłby tu ktoś zarzucić, że darwinizm prawdzi-

wy w królestwie zwierząt, nie stosuje się do samego człowieka; że Stwórca, na początku wszelakiego życia, posadził na ziemi kilka tylko form zwierzęcych, które później, drogą metamorfozy, wydały następne kształty, a gdy ród zwierzęcy był ukończony i w komplecie, wtedy dopiero Najwyższy oddzielnie stworzył człowieka. Autor, przewidziawszy ten zarzut, dołożył wszelkich sił, w ostatnim dziele swoim, aby wykazać, iż człowiek zupełnym jest zwierzęciem. W takim razie i człowiek, dumny pan stworzenia, poddać się musi nieubłaganym prawom darwinizmu.

W trzecim nareszcie miejscu, za dowód położył autor rozmaite hipotezy, a wśród nich, niezmierną starość ludzkiego rodzaju, »niezbędną podstawę, dla zrozumienia jego pochodzenia.« Oto argumenta, na jakie zdobył się pisarz uczony, podczas gdy resztę swęj książki, mianowicie większą połowę drugiego tomu, wypełnił tysiącami ciekawych doświadczeń i spostrzeżeń, nie mających jednak żadnego związku z głównym przedmiotem. Mogły śmiało stanowić książkę osobną, bo na początek człowieka wtedy jedynie rzucają pewne światło, jeżeli się przyjmuje samą teorią autora. Z nią tedy postaram się zapoznać czytelników, w krótkich słowach.

Wiadomo, że rośliny i zwierzęta swojskie bezustannie się zmieniają; że co lat kilkanaście nowe zjawiają się rasy, a stare ustępują, stosownie do potrzeb lub kaprysów ich właścicieli. Angielski farmer, ideał agronoma, doszedł do takiej wprawy w tworzeniu ras nowych, że, z najzimniejszą flegmą, jak gdyby chodziło o ulepienie figurki z gliny, narysuje sobie zwierzę

upragnione i mniej więcj obliczy, za ile lat się go do-
czeka.

Że to podobna, że to nie przesada żadna, poka-
zują liczne rasy angielskie, obrachowane zawsze na
praktyczne cele. Świnia Leicester zamieniła się w sło-
ninę, wół durnamski w mięso i tłuszcz, koń an-
gielski w kości i muszkuły, a wszystkie inne części or-
ganiczne w tych rasach zesły do minimum, niezbę-
dnego do fizycznego istnienia. Trudno nierolnikom wy-
obrazić sobie całe bogactwo form, otrzymanych sztucz-
nym chowem w obu królestwach, zwierzęcym i roślin-
nym. Mianowicie w gołębiach, któremi w Anglii oso-
bne zajmują się kluby, otrzymano nieprzejrzaną rozmai-
tość w kilkuset gatunkach i odmianach, z których nie-
które stoją tak dalece od siebie, jak gdyby należały do
rodzajów zupełnie odmiennych. Zdarzają się nawet fan-
tastyczne żądania, domagające się gołębi o dziwacz-
nych dzióbach, nogach lub kolorach, — a wprawny ho-
downik wygórowane nawet tego rodzaju żądania w dwóch
lub trzech latach, a czasem i prędzej zaspokoić potrafi.

Nie jeden z czytelników zapyta, jak to być może.
Odpowiam: Nic łatwiejszego, jeżeli wprawne oko i wy-
trwała praca dopomagają naturze. Każdy bowiem or-
ganizm jest produktem dwóch przeciwnych sobie sił,
jednej, niejako dośrodkowej, która w nim na-
śladuje typ rodzicielski i nazywa się dziedzicznością —
drugiej odśrodkowej, która go od pierwotnego
typu oddala. A, jak w mechanice, ciało, zostające pod
wpływem dwóch sił, działających nań pod kątem, nie
pójdzie wyłącznie ani za jedną ani za drugą, lecz w kie-
runku przekątni równoległoboku sił składowych, tak
i każdy organizm w czymś będzie podobnym do swoich
rodziców, a w czymś od nich różnym. Najczęściej różnice

te są mało znaczące i giną razem z jednostką, gdy jednak są znaczniejsze (np. akacja bez kolców) nazywamy je odmianą, a gdy odmiana przechodzi spadkiem na potomstwo, powstaje rasa. Przykład rzecz całą wyjaśni.

W Stanach Zjednoczonych, w Masacuzec w r. 1791, urodził się baran z krzywými, krótkiemi nogami. Właściciel jego nie mało się ucieszył. Dotychczas owce, na pastwiskach, przeskakiwały bardzo często przez płoty. Oczywiście podobne taksiki musiałyby zaniechać tych ćwiczeń gimnastycznych; nie dziw więc, że praktyczny Amerykanin na seryjo pomyślał o stworzeniu takiej rasy. Chodziło przedewszystkim o to, aby z barana-taksika otrzymać potomstwo podobne do niego, a gdy to się udało, wszystkie do niego podobne sztuki oddzielano od reszty trzody i między sobą krzyżowano. Tym sposobem powstała rasa nowa, bardzo mało podobna do zwyczajnych owiec, która się wkrótce rozpowszechniła po Stanach Zjednoczonych i dopiero w nowszych czasach ustąpiła przed merynosami. Tak rasy powstają i giną, wedle życzeń człowieka.

Do ich powstania dwóch rzeczy potrzeba: nowój odmiany, choćby bardzo małej — a to jest dzieło natury; powtóre: ustalenia odmiany w potomkach, a to jest zadaniem człowieka. Nie jest to praca mała, bo rasa, zostawiona sama sobie, wraca powoli do pierwotnego typu, potrzeba zatem wydzielać bezustannie jednostki, nie mające, w całej czystości, charakteru rasowego.

Darwin, od młodu wtajemniczony we wszystkie praktyki i sztuki łamane hodowników bydła, wróciwszy ze sławnej podróży na około świata, odprawionój w roku 1835—1847, osiadł na wsi, w majątności swojej, gdzie

dotąd czas swój dzieli między studia i hodowanie zwierząt. Poznawszy wszystkie tajemnice trudnej, a Anglikom tak sympatycznej sztuki, zadał sobie pytanie, czy natura potrafi *en grand* zrobić to samo, co każdy dzierżawca robi *en petit* na swój tenucie. Odpowiedział na to w dziele »o początku rodzajów.«

Że rośliny i zwierzęta, zostające w stanie dzikim, mają tę samą, choć mniejszą dążność, co swojskie, wyradzania się w nowe rasy, nie potrzeba na to dowodów. Chodzi więc o drugi wynik, potrzebny do utworzenia rasy, o ustalenie jej sposobem dziedzicznym. Po tym, co wspomniałem, o zabiegach około utrzymania czystości krwi w rasach swojskich, wydaje się niepodobnym, aby w stanie dzikim nowe rasy mogły powstawać, co więcéj, potrwać czas dłuższy. Bo chociaż ciągle rodzić się będą jednostki z nieco odmiennym typem, nie potrafią go przekazać następnym pokoleniom, przynajmniej nie na długo, gdyż nic ich nie ustrzeże od mieszania się z resztą pobratymców. Jeżeli mimo to rasy dzikie trwają, to któż zastępuje przezorną rękę brakującego swe owce farmera? Bez niego wydaje się utrzymanie rasy bezwzględny niepodobieństwem.

Kluczem do zrozumienia téj tajemnicy jest, wedle Darwina, współbieganie się w szukaniu pokarmu, czyli walka o życie. Walka ta, którą należy brać w najogólniejszym pojęciu, jest nieuniknioną, dla wielkiej płodności prawie wszystkich roślin i zwierząt. Gdyby roślina jaka wydawała tylko dwa ziarna na rok, a jej potomstwo mnożyło się ciągle w téj samej niekorzystnej proporcji, mielibyśmy po dwudziestu latach milion roślin. Para słońów, których płodność zaczyna się dopiero w trzydziestym roku życia, a kończy w dziewięćdziesiątym — jeżeli w ciągu tego długiego czasu zrodzi

tylko trzy nowe pary, a te następnie rozmnożą się w tymże liczebnym stosunku, otrzymamy, po 500 latach, piętnaście milionów. A cóż powiemy o króliku, który doczekać się może miliona najoddalniejszych potomków w tym czasie, w którym słoń zaledwie jednego się deczeka, lub o mszycy różanej (*aphis rosae*), która w kilka tygodni cieszy się milijardami wnuków i prawnuków. Z pomiędzy najniższych zwierzątek, z pomiędzy wymoczków, jedna lanuszką (*vorticella*), mnożąca się pączkami, które odczepiwszy się od matki, zamieniają się w samodzielne żyjątka, wedle obliczeń Ehrenberga, w cztery dni wydaje 140 bilionów potomstwa.

Jasny stąd wypływa wniosek, że gdyby które-mukolwiek rodzajowi istot żyjących, nawet najwolniej mnożącemu się, zostawiono bezwzględną wolność rozszérania się, zczasem, dla potomstwa jego, zabrakłoby i ziemi i wody i powietrza, a zjadłszy wszystko, byłby na końcu zmuszony zjeść siebie samego. Wszystkie zatym rodzaje razem mogą tylko w ten sposób istnieć obok siebie, że w każdym z nich większa część jednostek ginie we wzajemnej, nieubłaganej walce. *Bellum omnium contra omnes*, oto normalny stan natury, że użyję słów Hobbera.

Gdy w nocy letniej, przy pełni księżyca, wychodzimy do ogrodu, aby marzeniami wtórować śpiewaniu słowików, gdy prócz nas i prócz nich reszta natury zasnęła bezwiednym snem niewiniątek, gdy każdy krzaczek drzémie tajemniczo, oblany z góry srebrzącemi się falami bladego światła, a nam tak dobrze, tak lekko, tak błogo, żeśmy choć na chwil kilka wyrwali się z wiru światowego, a każdy listek do koła nas dyszcy szczęściem i zgodą; wtedy, smutno to powiedzieć,

obracamy się w grubój, choć miłej ułudzie, podobnej do téj, która nam ziemię ukazuje nieruchomą, a słońce kołującym. Pokój i szczęście, które są w nas, wnosimy tam, gdzie ich nie ma; światłem własnego ducha rozpromieniamy ciemność zewnątrz nas i zdaje nam się, że i ona jest światłem.

Przypatrzmy się bliżej téj na pozór tak uroczej, tak majestatycznie spokojnej przyrodzie, a wcale inny obraz odstąpi się zdumiałym oczom. Śpiewające słowiki są to szczupłe niedobitki z licznych zastępów, z których jedna połowa zginęła w jajku, a druga przez mróz i sotę, przez utrudzenie w dalekiej podróży, lub w szponach drapieżnych jastrzębi, w pazurach nielitościwych kotów. A na odwrót, ci sami idealni śpiewacy, czarujący nas nocnymi koncertami, czyż nie zjadają, rok rocznie, milionów robaczków, muszek, gąsienic, motyli? A ileż miliardów tych samych robaczków ginie bezustannie, jużto w zarodku, jużto z najrozmaitszych przypadków.

I nawet nieruchome rośliny, ten sam, co zwierzęta, staczają bój zażarty, jużto między sobą, jużto z rodem zwierzęcym, tym okrutniejszy, że walczą bezwiednie i na oślep, bez litości i bez pardonu. W jednej stopie kwadratowej, na murawie, po której stąpamy, ta sama, mimo drobnych swoich rozmiarów, wre walka, ta sama wojna, która napełnia całą powierzchnię ziemi. Tysiące małych istotek wydzięra tam sobie nawzajem przestrzeń i powietrze, rosę i światło: robaki podcinają trawki, a te rosnąc wzwyż i wszérz, duszą bez litości swoje młodsze lub słabsze siostrzyczki.

Łatwo da się przewidzieć, że w téj straszliwej walce o życie zwycięstwo zostanie przy mocniejszym, czy go siła fizyczna takim uczyni, czy instynkt, czy

duch myślący. Silniejszy rodzaj zapanuje nad słabszym, a w każdym rodzaju silniejsze jednostki szczęśliwszym współzawodnictwem zabiją słabsze. W tak nieustającym i wyteżonym współubieganiu się nieraz mały przymiot właścicielowi nada wyższość, która mu czasem zapewni zwycięstwo nad rywalami, nie mającemi tego przymiotu. Wtedy powstanie nowój rasy jest zabezpieczone.

Wyobraźmy sobie, że wśród niezliczonych antylop, pasących się po równinach środkowej Afryki, znalazły się niektóre z nieco dłuższym karkiem. Przymiot brzydki, o którym trudno powiedzieć z góry, czy się na co przyda. Aż tu nastaje wielka i długa posucha, trawy i krzaki więdną, drzewa tylko ocalały pełnością swojej zieleni. Oczywiście zwyczajne antylopy wyginą z głodu, albo się wyniosą w inne strony, gdy tymczasem długoszyjne mogą się jako tako wyżywić, obgryzając dolne gałęzie drzew. Pozostawszy jedynemi paniami bojowiska, z konieczności między sobą się kojarzą w stadła i przekażą długie swoje szyje dzieciom swoim. Gdy te same warunki potrwać lat kilkanaście, przymiot ów, zrazu maleńki, będzie się wzmagał w każdym następnym pokoleniu, gdyż natura sama ubezpieczy czystość krwi, na kształt rządowego farmera, z tą tylko różnicą, że rugowanie jednostek, nie mających rasowej cechy, tam się odbywa podług naprzód ułożonego planu, a tutaj mechanicznie, pod wpływem zewnętrznych warunków życia: wszystkie bowiem jednostki, nie mające dłuższej szyi, giną dla braku pokarmu. I oto powstaje wspaniała żyrafa.

Taki jest główny zarys teorii Darwina. Elekcyja sztuczna w stanie swojskim, elekcyja naturalna w stanie dzikim, używająca za narzędzie okropnej walki o życie — te są czynniki, które działając na małe zrazu przy-

mioty, ustalają je coraz bardziej prawem dziedziczności, a, z drugiej strony, przez rugowanie nieodpowiednich jednostek, utrzymując czystość rasowego charakteru, dają początek nowym rasom, które w ciągu wieków tak się od siebie oddalić mogą, że przechodzą w rodzaje zupełnie odrębne, nie łączące się między sobą.

W książkach Darwina spotykamy się ze zjawiskiem, coraz częściej, niestety, powtarzającym się w ludziach uczonych: z niesłychaną erudycją obok zupełnego niedołęstwa w myśleniu. Pochodzi to, moim zdaniem, stąd, że w krajach północnych studjum filozofii, a przedewszystkim ćwiczenia dydaktyczne coraz więcej ustępują przed faktami bezmyślnymi. Szczególnie w naukach ścisłych i medycynie coraz mnożą się ludzie, którzy, podobni dzieciom, dni i noce trawią na obserwacjach, aby potem najbłędniejsze z nich wyprowadzać wnioski. Wszak i dzieci nic innego nie robią: od rana do wieczora ciekawie przypatrują się każdej rzeczy; i daleko więcej od nas starych spostrzegają w niej stron nowych, niezwykłych — mimo to ich syllogizmy nie przestają być dziecinne.

Taką niewprawność w myśleniu wraz z erudycją starca jednoczy i Darwin w swój osobie. Zrazu uderza czytelnika niezliczonemi faktami, nawet zarzuca go tak, iż ten ma go za człowieka niesłuchanie uczonego. Dopiero po jakimś czasie spostrzeża, że wielki ten uczony badacz i przyrodnik rozumuje jako dziecko; nie według prawideł logiki, lecz wedle skoków niespokojnej wyobraźni.

Cała jego teoryja jest takim skokiem fantazyi i to tak gwałtownym, że dziwić się trzeba wielkię sławie jego. Pochodzi ona stąd zapewne, że większość czytających ma coraz skromniejsze pretensyje do logiki. I w istocie, wielkie odkrycie, dla którego Darwina nazywają drugim Kopernikiem, jest w tym, że od lat wielu oddany życiu wiejskiemu i wtajemniczony we wszystkie sekreta gospodarskie, rozszerzył swoje spostrzeżenia, które tyczyły się ras domowych, najniesłuszniej do całego zwierząt królestwa. Rozumuje w ten sposób: skoro człowiek tak wielkie sprowadza zmiany w typach zwierzęcych zapomocą sztucznej elekcyi, czegoż nie potrafi w naturze elekcyja przyrodzona? Ale któż nie widzi, że wyraz »elekcyja naturalna,« brany dosłownie, jest niedorzecznością i sam autor to przyznaje (*L'origine des espèces*, — Paris 1860 — str. 116). Dlaczego więc go używa? Czyż wolno badaczowi ścisłemu bawić się w przenośnie? w kwiaty? w allegoryje? I odkądże to w naukach ścisłych metafora i to jeszcze niewłaściwa, starczyć może za argument??

Nadałem nazwę »elekcyi naturalnej« powiada Darwin, czynnikowi, który przechowuje każdą odmianę (w organizmie), byleby była korzystną» (*L'origine des espèces* — str. 92). Ileż tu niejasności w tym krótkim zdaniu? Ale posłuchajmy dalej. Wypowiedziawszy główną myśl swoją, że natura, za pomocą elekcyi przyrodzonej, potrafi daleko więcej, aniżeli człowiek za pomocą elekcyi sztucznej, dowodzi tego w ten sposób: »człowiek może tylko wpływać na cechy widzialne, zewnętrzne, podczas gdy natura, powtarzam, działa na każdy organ wewnętrzny, na najmniejszą różnicę organiczną. Człowiek wybiera, jedynie mając na względzie własną korzyść, a natura

w wyborze, ma jedynie wzgląd na jednostkê, którã siê opiekuje... Elekcyja naturalna, co dzieñ i o ka¿dêj godzinie, po całym świecie, bada ka¿dã odmianê, nawet najniepokãżniejszã, aby odrzucić jã, je¿li jest złą, a zachowaç, je¿li jest dobrã. Tak ona nieznacznie, w milczeniu, wszêdzie i zawsze, skoro siê nadarza szczêśliwa sposobnoœç, pracuje nad udoskonaleniem ka¿dêj istoty organicznej.« (*L'origine des espèces*, str. 119 i 120).

I to dzisiejsi materyjaliœci nazywajã metodã indukcyjnã, rozumowaniem œcisłym, argumentacyjà niezbitã? Doprawdy, odkãd protestantyzm wyrugował łącinê z literatury, wszystko dozwolono w krainie myœli. Odkãd surowa pani myœlenia i dobrego gustu zamilkła, zaczęły siê bachanalija dla piszãcych i mówiacych. Niepojęty szał ogarnãł wszystkich i pomieszał im jêzyki, a im głoœniej krzyczã, tym mniej rozumiejã siebie samych. Gdyby łaskawy czytelnik zechciał przytoczony ustêp sławnego Darwina, a podobnych znajdzie siê w nim bez liku, przełożyć na zwycajnã łącinê, przekonałby siê, z niemałym zdziwieniem, że to mowa brzmiãca, ale bez treœci.

Któż jest ta natura, pamiêtajãca o wszystkim, opiekujãca siê wszystkiemi? Darwin odpowiada: jest to prawo, wedle którego zmienne jednostki doznajã opieki! Czyż kto słyœzał kiedy o podobnym okreœleniu? Doznajã opieki! Od kogo? Czyż od Boga? To Darwin przypuszczał w r. 1859, ale dzisiaj tego ju¿ nie uznaje. Czy mo¿e od natury? Jakim sposobem to byç mo¿e, skoro ona jest tylko prawem, wedle którego jednostkom dostaje siê opieka. A je¿li natura jest prawem, to gdzie¿ przebywa to prawo? kto je nadał? kto je wykonywa? Prawo jest pojęciem wzglêdnym i tylko tam istnieje, gdzie żyje prawodawca.

Czymże wreszcie ten wszechświat? ten ocean życia? Jeżeli natura jest prawem, nie może być światem. Któż wreszcie wykonywa to prawo? Potrzeba na to istoty rozumnej, a to nie jest natura, będąca tylko prawem! Od kogo więc jednostki doznają opieki? Wygłosił nam Darwin prawo, wedle którego opieka udziela się, ale nie powiedział, kto jej udziela. Natura jej nie udziela, bo jest prawem. Któż więc, na Boga?! Może świat? Ale czymże jest świat? Nie jest naturą, bo wtedy byłby prawem. Czymże zatem? Chyba ową nieskończoną ilością stworzeń, które dokoła siebie widzimy. Ale wtedy mówić, że według pewnego prawa świat daje opiekę jednostkom, wychodzi na to, że jednostki sobie same są opieką i to według danego prawa! Wątpię, aby czytelnicy zgoła coś zrozumieli z tej próbki logiki darwinowskiej! Ale idźmy dalej.

Widzieliśmy, jak niejasne są pojęcia autora. Jedno takie pojęcie potrafi całą książkę zamącić. I w istocie, trudno zrozumieć zdanie, którego podmiot jest niezrozumiały. Ale tu bezustannie słyszymy autora, mówiącego o naturze, jako o istocie myślącej i czującej: »Natura wybiera, bada, pracuje; natura dba o korzyść jednostek i natura doskonali je bezustannie.« Na jednym nawet miejscu nazywa się elekcyja naturalna »władzą rozumną.« Pytam, jaki sens zawiera się w tych przenośniach? i czy nie do nich stosują się słowa wielkiego Cuviera, że fizjologowie, rozprawiający o naturze, jak się rozprawia o żywej i myślącej istocie, nic nie tłumaczą i tylko siebie i innych trzymają w grubej ułudzie?

Zdaje mi się, że w podobnej ułudzie obracają się wszyscy darwiniści. Czczą przenośnią, widmo wyobraźni wzięli za rzeczywistość i w miejsce Boga żywego po-

stawili abstrakcją swego własnego rozumu. Odtąd zdaje im się, że wszystko wyjaśnili, biorąc ciemność, która ich otacza, za światło. Wolno nam, chrześcijanom, w przenośnym znaczeniu mówić o naturze, jako o żywej istocie, że czuwa, że oddycha, że śpi, że karmi wszystkich, że chwali swego Stwórcę. Wszak i o zegarku mówimy, że chodzi, że stanął, że się spieszy, że się myli. Niewinne te przenośnie mają znaczenie zupełnie jasne i określone. Ale gdy Boga usuwamy na chwilę z myśli naszej, wszystkie te abstrakcje stają się niezrozumiałymi. Jak nikt nie mówi, że zegarek sam się nakręcił lub sam się nastawił, tak również o naturze bez Boga nikt nie powie, że stara się każdą istotę zachować lub doskonalić. Natura bowiem, pod okiem Boga, jest regularnie chodzącym zegarem; bez Boga jest niezrozumiałym chaosem. Są to miliony zwierząt, roślin, kryształów, gazów, kamieni, o których nikt nie powie, że kogoś doskonala lub karmi.

A wreszcie przenośnie te nawet nie przypadają do natury, rządzonej ręką Opatrzności. Nie wiemy, jaką była dawniej, ale to pewna, że odkąd na świat grzech przyszedł, a z grzechem śmierć, nie widać w naturze żadnej dążności do zachowania lub doskonalenia jednostek. Tam, przeciwnie, wre wojna wszystkich przed wszystkim, jak sam Darwin trafnie zauważył, ale celem tej walki nie jest zachowanie, lecz tępienie; nie jest doskonalenie, lecz niszczenie. Tam przeważnie gną nawet doskonalsze stworzenia, dobór jednostek, bo jak człowiek tak i zwierzęta woła tłustą zwierzynę od chudej. Najczęściej jednak w naturze panuje głód tań, że, bez wyboru, jedno stworzenia pożera drugie, doskonałe i ułomne.

Nie zapominajmy, że wyraz doskonalić jest

pożyczony tylko. Mówią, że rolnik doskonali zwierzęta domowe. Darwin ten sam zamiar przypisał przyrodzie. Jednakże doskonalenie płodów swojskich jest pojęciem bardzo względnym, którego nie wolno używać bez należytej oględności. Prawda, że rolnik doskonali rozmaite zwierzęta i rośliny, ale je doskonali dla siebie, podczas gdy natura, jak Darwin sądzi, jedynie korzyść stworzeń ma na względzie. Nie zachodzi więc najmniejsze podobieństwo między jednym działaniem a drugim. Co więcej, rolnik tylko pod pewnym względem doskonali, a pod drugim psuje. Produkta swojskie są doskonalsze pod względem korzyści naszój, ale w sobie są mniej doskonałe od dzikich. Nikt nie powie, że świnia Leicester, podobna do wypchanój kielbasy, jest w sobie doskonalszą od odyńca lasów, a wojna krymska pokazała, że follandy angielskie doskonałe są w stajni i na wyścigach, ale bardzo liche w znoszeniu niewygód wojennych. Pod tym względem zwykłe konie kozackie okazały się nieskończenie wyższymi.

To samo powiedzieć można o wszystkich prawie zwierzętach domowych. Nasze kaczki, gęsi, kury, są bardzo smaczne, są tłuste, mają delikatne pierze, mają niezliczone zalety, ale porównane z pokrewnymi im ptakami, żyjącymi w stanie dzikim, są istotami zupełnie niedołącznymi. Dlatego inni naturaliści bynajmniej tworzenia się ras nie uważają za doskonalenie pierwszego typu, jak Darwin, lecz za wyrodzenie się. Niezrównany Buffon przechodzi z kolei nasze zwierzęta domowe, a porównywając każde z nich z pokrewnym typem dzikim, uważa je wszystkie za zepsucie formy pierwotnej. Nie możemy się dłużej zatrzymywać nad tym przedmiotem, ale dobrze jest sobie przypomnieć, że Buffon, którego sława więcej ustalona i lepiej

wypróbowana od sławy Darwina, o jednym z głównych punktów zoologii miał wręcz przeciwne wyobrażenie.

Cóż więc powiemy o Darwinie? Oto, że uwiedziony błędną analogią i nic nieznaczącymi przenośniami przypisał bezrozumnej naturze rozumne funkcje człowieka. Oczywiście systemat, oparty na takim dowodzeniu, rozpada się w sobie, jak domek z kart, stawiany ręką dziecka. Zapomniał śnać autor, że w dziele: »o początku rodzajów« sam ostrzega, iż nie można polegać na analogii, gdyż niekiedy (powiem: bardzo często) prowadzi na bezdroża (*L'origine des espèces* str. 669.) Mimo to na niej budował cały gmach myśli swojej. A jeżeli nawet analogija prawdziwa, z natury swojej, bardzo słabym jest dowodem, to analogija fałszywa, doprawdy, niczego nie dowodzi. Żadnej zaś nie ma wątpliwości, że Darwin pomylił się w analogii. Boć nikt nie powie, że między ziemią, odłączoną od Boga, martwą i bezmyślną, a rozumnym człowiekiem, pracującym według planu naprzód ułożonego, zachodzi jakiegokolwiek, nawet dalekie podobieństwo.

Pojęcie natury, mimo określenia Darwina, pozostało dla nas niezrozumiałym. Tym mniej zrozumiemy w jaki sposób natura utworzyła rodzaje. Albowiem żeby to zrozumieć, trzeba koniecznie wiedzieć, co to natura i rodzaj. Naturę określił autor w sposób niezrozumiały, a o określeniu rodzaju nawet nie pomyślał, twierdząc, że to pojęcie bez wszelkiej przedmiotowej rzeczywistości, tak, iż sam tytuł książki »o początku rodzajów« wielkim jest paradoksem. Powinien był raczej taki napis położyć: »o początku tego, co nie jest,« gdyż

dla niego rodzaj nie istnieje. Zasłania się uczony autor twierdzeniem, że sami zoologowie nie mają dokładnego pojęcia o rodzaju i że na jedno wspólne określenie dotąd zgodzić się nie mogli. (*Origine des espèces* str. 69).

Jednakże, w tej mierze, Darwin bardzo przesadza, bo odkąd ludzie są na świecie i odkąd myślą, dzielili zawsze stworzenia na mniejsze i większe grupy, według ich większego lub mniejszego podobieństwa. Ludzie stanowią rodzaj osobny, odrębny stanowią psy, a koty także odrębny. Psy dzielą się także na rozmaite rasy, a chociaż te często są bardzo mało do siebie podobne; jednak najbardziej nawet ograniczony człowiek wie, że chart w bliższym zostaje pokrewieństwie do brysia, aniżeli do kota. Zawsze to wiedziano i zawsze tak sądzono, bo całe myślenie nasze o tyle jest prawdziwe, o ile ogólnym pojęciom naszym odpowiadają rzeczywiste grupy stworzeń. Gdybyśmy nie byli przekonani, że n. p. dwa psy należą do jednej, ściśle od innych wyróżnionej grupy, nie moglibyśmy żadnego z nich psem nazwać, gdyż wyraz ten oznacza całą grupę zwierząt.

Gdyby dowiedziono, że tej grupy nie ma, że jednostki do niej wchodzące nic zgoła ze sobą nie mają wspólnego, natychmiast każda z nich przestałaby być psem, nazwa-by jej znikła, a pojęcie rozwiąłoby się w nic. Darwin dołożył wszelkich starań, aby znieść wszystkie grupy, wszystkie rodzaje, gatunki, familije i rasy, a zostawić same jednostki. Sądził, że sztuczne jego metamorfozy łatwiej się odbędą od jednostki do jednostki, aniżeli od rodzaju do rodzaju. Nie dziwię się temu wcale. Interes szkoły w istocie tego wymaga.

Nie zapominajmy, że nowożytny materjalizm jest niedonoszonym płodem panteizmu niemieckiego i że ma

razem z nim wspólny interes. Otóż tętnicą panteizmu, ciepłem i życiem jest zniesienie zasadniczego prawa myślenia, że ta sama rzecz nie może równocześnie być i nie być. Bez tego prawa wszelkie myślenie zatrzymuje się, ustaje, przechodzi w niemyślenie. Tego właśnie żądają, tego pragną panteiści. Znieśli różnicę między Bogiem a światem, między bytem a nicością, między światłem a cieniem, między dobrem a złem; ale tego im nie dosyć, dopóki myślenie zachowuje swoje udzielne i rzeczywiste istnienie. Dlatego zbuntowali się przeciw logice i obalili słupy graniczne, dzielące myślenie od tego, co nie jest myśleniem. U nich panuje wolność paradoksów i tożsamość przeciwieństw.

W chwilach szczerości czy rozkołysanej fantazyi mawiał Hegel, że jedno są skończoność i nieskończoność, Bóg i człowiek, wolność i konieczność, dobre a złe, plus i minus, majątek i długi, nareszcie słońce i księżyc, a co dziwniejsza, że fałsz i prawda to jedno! Kto tego nie czytał na własne oczy, nie uwierzy, że myśl ludzka mogła do tego stopnia oszaleć. Szał ten materyjalistom dostał się w spadku, tytułem pokrewieństwa, łączącego ich naukę z hegelijanizmem. Nie widzą różnicy żadnej między rośliną a zwierzęciem, koniem a osłem, kozą a baranem; nie mają ani rodzajów ani gatunków, ani ras nawet, znają tylko same jednostki.

Dr. Büchner i Prof. Haeckel z Jeny, który darwinizm wyniósł do godności religii, uważają za największy tryjumpf nauki ostateczne zrównanie zwierzęcia i rośliny, zwierzęcia i człowieka. Jestto przeniesiony do głów niemieckich francuski rydykalizm, zastosowanie zasad roku 1789 do królestwa zwierzęcego. Moim zdaniem, jednego tylko ono dowodzi; upadku myślenia

w twórcach owych hipotez. Opatrzność zsyła nieraz podobne upadki, karząc umysłową rozpustę. I jakże inaczej być może! Czyż nie jest to straszna a zarazem sprawiedliwa logika, że materyjalista, znoszący różnicę pomiędzy sobą a zwierzęciem, karany bywa właśnie w tym, co najwięcej go wyróżniało od zwierząt, w darze myślenia? Wtedy, jak zwierzę, obraca się wśród samych faktów i zjawisk, nie mogąc przez nie przedostać się do krainy prawd ogólnych, bo wypuścił z ręki tajemniczą nić przewodnią, proste i niezgłębione prawo kontradycyi, że ta sama rzecz nie może razem być i niebyć.

Naprzeciw tym usiłowaniom należy tym mocniej afirmować przyrodzone prawa myślenia, bo tylko one ocalić nas mogą przed potopem kłamstw i błędów, zalévających wszystkie dziedziny życia umysłowego i społecznego. Potop ten niewątpliwie przybierze przez zniesienie rodzajów w szkole Darwina. Tym silniej obstawać trzeba przy zupełnym ich rozgraniczeniu. A przychodzi to tym łatwiej, że mamy znakomitych zoologów po naszej stronie.

Prawda, że nieraz po książkach zjawiają się niedokładne określenia, ale to już nie przyrody, lecz przyrodników jest wina. Ona pod tchnieniem Najwyższego stworzyła udzielne gromady jestestw; że ludzie tych gromad czasem rozpoznać nie umieją, czyjaż w tym wina? A zresztą nieprawda, co mówi Darwin, że nie masz dobrego określenia rodzaju i że, co do tego pojęcia, zoologowie są w zupełnej niezgodzie. Zezwalam chętnie, że niektórzy, wśród nich p. Darwin, p. Vogt, p.

Büchner, ale to nie wiele znaczy. Za to większość poważnych naturalistów przyjęła jasne określenie wielkiego Buffona, według którego rodzajem nazywamy nieprzerwane następstwo jednostek do siebie podobnych i reprodukujących się z kolei.

Podobieństwo i reprodukcja, oto dwie główne cechy rodzaju, pierwsze jest dodatkowym, druga jest niezbędną. »Podobieństwo jednostek, powiada trafnie Buffon, jest tylko ideą dodatkową, a często niekoniecznie złączoną z nieprzerwanym następstwem jednostek drogą reprodukcji, bo osioł więcej jest podobny do konia, aniżeli pudel do charta, a jednak pudel i chart należą do jednego rodzaju, gdyż mieć mogą wspólne potomstwo, mnożące się dalej; tymczasem koń i osioł należą niewątpliwie do różnych rodzajów, gdyż wspólne ich potomstwo jest nadwyręzione i niepłodne.«

W granicach każdego rodzaju powstają jednostki z licznymi odmianami, n.p. akacja bez kolców; które to odmiany, jeżeli ustalają się i przechodzą drogą dziedzictwa na potomków, co jednak nie często się zdarza w stanie dzikim, zamieniają się w rasy. Ale wszystkie rasy i odmiany, nawet najmniej podobne do typu pierwotnego, należą do jednego, wspólnego pokolenia, które prawdopodobnie z jednej, pierwszej pary się rodzi. Familijne to pokrewieństwo, w nowych czasach wprowadzone do zoologii przez pp. Izidora Geoffroy'a, Saint Hilaire'a i Quatrefages'a, wytyka jasno granice każdego rodzaju. Każda jednostka, nie dająca się w żaden sposób podciągnąć pod genealogiją rodzaju, do niego z pewnością nie należy. Powiem zatem, że rodzaj jest to potomstwo jednej pary, naj-

częścić do siebie podobne, a zawsze reprodukujące się bez przerwy.

Okręślenie każde powinno nie tylko być wolne od wewnętrznych logicznych sprzeczności, lecz nadto postarać się o sankcją świata realnego. Tym powinno dowieść swojej prawdziwości, obejmując wszystko to, co objąć miało, tłumacząc wszystko to, co tłumaczyć przyrzekło. W obecnym razie, okréślenie przez nas podane, zostało świetnie potwierdzone przez najwyższą mistrzynią w tych sprawach, przez samę przyrodę.

Natura bowiem pociągnęła wyraźną granicę między jednym rodzajem a drugim. Potomkowie różnych ras, byleby jednego rodzaju, krzyżują się z wielką łatwością i wydają potomstwo, reprodukujące się dalej. Są to metysy czyli mieszańce. Przeciwnie, potomkowie dwóch różnych rodzajów, tak zwane hybrydy, trudno między sobą się krzyżują, a jeżeli przypadek obdarzy je potomstwem, to zawsze jedno z dwojga: albo umiera ono bezdzietnie, albo w potomkach swoich wraca niechybnie do jednego z dwóch typów rodzicielskich, od których pochodzi. ¹⁾

¹⁾ Zatrzymywanie się nad szczegółami odprowadziłoby mnie za daleko od celu mojej rozprawy. Dlatego mogę tylko odwołać się do powagi wielkich naturalistów, którzy tę kwestyję w najdrobniejszych szczegółach zbadali. Pomijając dawniejsze prace Buffona i Cuviera na tym polu, przypominam wytrwale doświadczenia pp. Decaisne'a, Flourens'a i Naudin'a, z których mianowicie drugi w menażeryi *Jardin des plantes* studyjował mieszańce zwierzęce, a trzeci przez ośm lat wyłącznie obserwował hybrydy roślinne. Prace te, dawno już podane do wiadomości publicznej, cały stan kwestyi wybornie rozjaśniły. Żatuję, że w tej materji muszę poprzestać na kilku ogólnych uwagach.

O nic łatwiej w przyrodzie, jak o metysy (mieszance), czy to wśród roślin czy zwierząt; najczęściej nawet odznaczają się większą płodnością, aniżeli jednostki czystej krwi. Wiedzą gospodarze, jak trudno im przychodzi uchować rasę od zmieszania się z innymi. Nic podobnego nigdy nie zdarza się między różnymi rodzajami, te dobrowolnie nigdy prawie się nie łączą i stąd pochodzi owa uderzająca dysproporcja między liczbą metysów a liczbą hybridów. Metysy roślinne liczą się na tysiące, gdy tymczasem na 150.000 rodzajów, zaludniających królestwo roślin, liczba hybridów nie dochodzi czterdziestu. Takie liczby nie tylko wymownie, lecz doprawdy krzycząco protestują przeciw zniesieniu rodzajów i następnym dedukcyjom darwinistów. W państwie zwierzęcym dysproporcja jeszcze większa. W stanie dzikim, tylko w gromadzie ptaków znane są nieliczne wypadki, gdzie małżeństwa z różnych rodzajów okazały się płodnymi; o zwierzętach ssących i rybach nic takiego nie wiadomo.

Prawda, że ze zwierzętami oswojonymi ma się rzecz odmiennie, ale jeżeli gdzie, to na nich właśnie darwinizm się nie sprawdził. Mimo wszelkich usiłowań człowieka, powtarzanych od kilku tysięcy lat, mimo licznych, szczęśliwie otrzymanych hybridów, nie udało się nigdy przekroczyć granicy, dzielącej jeden rodzaj od drugiego. Ze wszystkich hybridów, znanych w domestykacyi, dwa tylko wypadki krzyżowania zawsze są pewne, konia z osłem i kozła z owcą, ale wymownie przeciw Darwinowi świadczą. Muł stale jest niepłodnym, a tak zwane szabiny (które zresztą tylko w Chili i Peru prosperują) reprodukują się, to prawda, ale po kilkunastu pokoleniach wracają niechybnie do jednego z dwóch typów pierwotnych, kozła lub owcy,

a wtedy krzyżowanie trzeba rozpocząć na nowo. Sprawdza się zatem w zupełności ogólne prawo, że hybrydy, dzieci dwóch odmiennych rodzajów, nie zdolne są utworzyć nowej rasy, tym mniej zaś nowego rodzaju.

Darwiniści, wiem o tym, mają rozmaite wybiegi za pasem: powiadają, że dawniej było inaczej, że strome rozgraniczenie dzisiejszych rodzajów jest dziełem niezmiernie długich czasów i t. d. Tych przypuszczeń jednak dowieść nie potrafili. Przywodzą także świeżo stworzone leporyny we Francyi, hybrydy z królika i zająca lub też psy, pochodzące od wilków. Ale przykłady te, z których piérwszy przyjmować należy z pewnym zastrzeżeniem, dowodziłyby tylko jednego, że nieślusnie z owych zwierząt utworzono osobne rodzaje, że to są rasy tylko jednego rodzaju, z których jedna żyje w stanie dzikim, druga w stanie swojskim. Nie ulega wątpliwości, że z dalszym rozwojem zoologii liczba rodzajów zmniejszoną zostanie, ale nie naruszy to w niczym samej istoty rodzaju. Płodność albo niepłodność, oto cecha nieomylna, po której dwie jednostki albo do jednego albo do dwóch różnych odnosimy rodzajów.

Najwięcej w tym sporze zadziwia, że nawet Darwin tę samą, co przeciwnicy jego, charakterystykę rodzaju podaje. W najnowszym dziele swoim poświęcił rozdział siódmy ważnej kwestyi: czy plemię ludzkie na odrębne rodzaje się rozpada, żadnym między sobą nie powiązane węzłem pokrewieństwa, czy też na rasy, należące do jednego rodzaju. Oświadczywszy się za drugim mniemaniem przytacza, jako argument za jednością rodzaju ludzkiego, że rasy ludzkie bez najmniejszej trudności zléwają się i krzyżują, a w tym

upatracie » tradycyjną próbę « pochodzenia lub niepochodzenia z jednego rodzaju. (Przekład Carusa tom I, str. 198). A dawniej już, mówiąc o wspólnym pochodzeniu gołębi z jednego rodzaju, opiera się głównie na łatwości krzyżowania i reprodukcji, zauważanej we wszystkich bez wyjątku rasach. Przeciwnie zaś, dodaje, nie można znaleźć przykładu hybrydów, któreby pochodziły z dwóch widocznie różnych rodzajów, a mimo to były płodne. (*Origine des espèces* str. 48). Słowa te rozstrzygają kwestyjną stanowczo. Bo jeżeli oznaką wspólnego z tegoż rodzaju pochodzenia jest łatwość krzyżowania się i reprodukcji, to brak tej oznaki dowodzi niepochodzenia, a wtedy przemiana jednego rodzaju w drugi jest fizycznym niepodobieństwem.

Powiadają darwiniści, że wzajemne przekształcenie się rodzajów odbyło się w niezmiernie długich czasach i w istocie potrzeba było milionów lat, aby zwolna i nieznacznie ryba przemieniła się w ptaka lub jaszczurka w zwierzę ssące. Wtedy jednak między jedną formą zwierzęcą a drugą musiałyby przejść niezliczone formy pośrednie, dwuznaczne. Ileż n. p. musiało być prób nieudanych, ileż kształtów wadliwych w organie widzenia, zanim oko złożone, cylindrowe większej części owadów, zmieniło się w oko soczewkowane zwierząt kręgowych. A jednak żadnej nie napotykamy formy przejściowej, nawet zgoła wyobrazić sobie nie umiemy, jakim sposobem pierwsze przemieniło się w drugie. To samo da się powiedzieć o innych organach: między skrzydłem a pletwą, między pletwą a nogą nie widzimy żadnego

przejścia, żadnego co do formy zbliżenia, a nawet wydaje się zupełnie niemożliwym, tak jak być ono nie może pomiędzy ziemią a powietrzem, pomiędzy powietrzem a wodą.

Co więc! nawet blisko siebie stojące rodzaje pokazują przedział, niczym nie wypełniony, którego przebyć nie można, chyba na skrzydłach wyobraźni. Jeżeli więc jeden rodzaj pochodzi od drugiego, koniecznie połączone być muszą długim szeregiem form przejściowych, któreby nieznacznie od jednego przeprowadzały do drugiego. Sam Darwin powiała, że ich bardzo wiele być musiało. Gdzież więc są te formy przejściowe? W obecnym stanie nigdzie ich nie ma. A jednak powinno ich być tysiąc razy więcej od form skończonych, stałych. Gdzież więc są? gdzie się podziały? Nawet w najdawniejszych pokładach ziemi ich nie ma. Nigdzie tam spotkać się nie można z formami dwuznacznymi, bardzo różnymi od dzisiejszych. Przeciwnie, są tam rodzaje ściśle od siebie odgradzone.

Już Cuvier walczył z przypuszczeniem, że obecnie istniejące formy zwierzęce, są metamorfozą zwierząt przedpotopowych. Ale, odpowiada stanowczo, jeżeliby ta metamorfoza miała miejsce, dlaczegoby ziemia nie zachowała po niej żadnych śladów? dla czego między paleoteryjum, megalonyxem, mastodontem a dzisiaj żyjącymi rodzajami nie znaleziono żadnych form pośrednich? To samo pytanie zadajemy Darwinowi i wątpię, czy zdobędzie się na lepszą odpowiedź od zwolenników metamorfozy za czasów Cuviera. Nie mogę bowiem na seryjo brać tego, co on i przyjaciele jego powtarzają, że wszystkie formy przejściowe leżą pogrzebane w morzu lub w krajach, któ-

rych dotąd geologia nie zbadła. Nad takimi argumentami doprawdy nie warto się zatrzymywać.

Ażeby zamknąć darwinistom tę ucieczkę pod ziemię, i ustrzedz czytelników przed bajkami geologicznymi, na których w wielkiej części darwinizm polega, przytoczę zdania dwóch ludzi fachowych, bo mniemam, że sprawa każda wiele na tym zyskuje, gdy w miejsce kapryśnych zachcianek wyobraźni, odwołujemy się do wytrawnego sądu prawdziwych mężów nauki.

Jeżeli teoria Darwina nie jest czczym wymysłem, powinna zarówno sprawdzić się na zwierzętach, jak na roślinach. Jak pierwsze tak i drugie musiały pozostawić niezliczone formy przejściowe w łonie ziemi. Zapytajmy więc jakiego znanego paleontologa, czy to prawda? Darwin nim nie jest. Otóż prof. Göppert we Wrocławiu, który długie swe życie przeważnie poświęcił badaniu skamieniałości roślinnych, i na tym polu uchodzi za powagę pierwszorzędą, streszcza sąd swój o teorii Darwina w tych słowach: teoria ta nie może się żadnego spodziewać poparcia od flory przedpotopowej.

Posłuchajmy teraz drugiego, który do podobnego doszedł wniosku na polu fauny przedpotopowej. Jest nim paleontolog Reuss: wykazał on gruntośnie, że kości przedpotopowe w niczym nie popiérają darwinizmu. (Zob. Nowy rocznik itd. Leonharda i Geinitza, 1865 str. 297). Łącząc zdanie dwóch tych uczonych w jeden wspólny rezultat, powiemy, że ani skamieniałości rośliny, ani zwierzęta przedpotopowe nie dowodzą zmienności rodzajów. A ponieważ w obecnie istniejących rodzajach sami darwińscy uznają stałą niezmiennność typów, wypływa stąd wniosek oczywisty, że po-

jedyncze rodzaje i roślin i zwierząt są stałe, w sobie zamknięte, udzielne; że ztym nie mogły powstać jedne z drugich.

Warto zapytać także, o ile darwinizm da się pogodzić z wiarą chrześcijańską? Pytanie to wyda się niejednemu dziwnym, zacofanym, niepolitycznym; sądzę jednak, że większość czytelników i w tym punkcie pragnie jasnej i stanowczej odpowiedzi. Wydaje mi się ona tym potrzebniejszą, ile że dzisiaj coraz częściej napotkać można chrześcijan, nieobeznanych nawet z elementarnym katechizmem, tym więcej skłonnych do przyjmowania wszelkich nauk, nawet najniezgodniejszych z wiarą, gdy téj sprzeczności nie widzi.

Inni znowu z pełną świadomością wyznają otwarcie, na polu nauki, zasady niechrześcijańskie, w przekonaniu, że wiara w sercu się mieści, a rozum nie potrzebuje nic mieć z nią wspólnego. Stąd pochodzą owe niezliczone połowiczne charaktery, z uczuciem niby to chrześcijańskim, a z logiką pogańską. Podobna połowiczność wydaje mi się niegodną ludzi myślących; lekomyślną w ludziach nieszczęśliwych, potrzebujących wszystkich władz duszy swojej do walki z losem przeciwnym. Każde rozdwojenie własnej istoty jest dla nich zgubą niechybną. Nie uczmy się dla prostej ciekawości, ani wierzmy dla zaspokojenia sentymentalnych uczuć naszych, lecz niech każda myśl nasza, nawet czysto naukowa, rozjaśni się przy pochodni wiary, aby nie omackiem, lecz z pełną świadomością przelęwała się w czyn. Bo o ile wstrętnym jest widok człowieka

idealnego w myślach, a brudnego w czynach, o tyle smutną jest dola chrześcijanina, sercem przywiązanego do tajemnic wiary, a rozumem błędzącego po bezdrożach materyjalizmu.

Pytam więc, czy chrześcijanin może być darwinistą? — Niektórzy odpowiedzieli na to twierdząco, a nawet biskup pewien anglikański oświadczył, że teoria Darwina daje się przewybornie pogodzić z Pismem św., bo ogólne wyrażenie: »Pan Bóg stworzył« nie wyklucza możebności, że stworzył tylko jedną komórkę, która w ciągu wieków rozrosła się w niezliczone zwierzęta i rośliny. Ale mniejsza o anglikanów, których chrześcijaństwo dzisiaj bardzo jest podejrzone.

Nawet niektórzy postępowi katolicy sympatyzują z powyższym mniemaniem. Uczony prof. Reusch z uniwersytetu bonońskiego (Bonn), opierając się na nieokreślonym znaczeniu hebrajskiego *min* (rodzaj), które wulgata czasem tłumaczy przez *species*, a czasem przez *genus*, mniema, iż słowa genezy: »uczynił Bóg bestyje ziemne według rodzajów ich« juxta *species suas*, znaczyłyby tylko, że Bóg uczynił »rozmaite bestyje« (zob. *Bibel und Natur* 3. wyd. 339), że zatem Pismo św. wcale nie wypowieda, ile pierwotnych typów zostało stworzonych, a ile później przybyło w ciągu wieków, drogą ciągłych metamorfoz. Czytając podobne rozumowanie zdawałoby się, że umiarkowany darwinizm, jaki wyznawał autor jeszcze w r. 1859, w najlepsze idzie w parze z Pismem św., tą podstawą nauki chrześcijańskiej.

Jednakże tak nie jest; rzecz się ma przeciwnie, a pan Reusch oraz przyjaciele jego, z których wielu, niestety, nie wyłączając jego samego, poszło teraz

zwiększyć szyki tak zwanych »starych katolików«, w grubym obracają się błędzie, zapewne dlatego, że nie dosyć się nauczyli dogmatyki, co w Niemczech, obok nadzwyczajnej erudycyi, zbyt często się przytrafia.

Ile razy tekst Pisma św. jest jasnym i zrozumiałym, nie mamy powodu odstępować od dosłownego tłumaczenia wyrazów. Powiada księga Rodzaju: że każda roślina miała nasienie »według rodzaju swego;« tak samo o zwierzętach, że zostały stworzone »według rodzaju swego. Jedne i drugie się mnożą nie według zmiennych wpływów zewnętrznego przypadku, lecz według rodzaju swego, to znaczy, iż każda istota wydaje potomstwo do niej podobne i stanowiące z nią jeden rodzaj odrębny. Nic więc się nie sprzeciwia teorii Darwina, jak podobne reprodukowania się tego samego pokolenia o formie niezmiennej. Co więc! gdy niepojęty akt stworzenia ostatecznie był dokonany i człowiek w raju wyrokiem Najwyższego ustanowiony panem ziemi i wszystkiego, co na niej jest, opowiada dalej księga Rodzaju, iż Bóg przywiódł wszystkie zwierzęta do Adama, a jak Adam każde z nich nazwał, tak »jest imię jego.« Słowa te, brane w znaczeniu prostym, dosłownym, a nie według z góry przyjętego systematu, mieszczą w sobie dwie ważne wskazówki co do powstania rodzajów; a obie są przeciw Darwinowi:

1) że rodzaje zwierzęce, od chwili stworzenia swego aż do dnia, w którym człowiek je przezwał, nie zmieniły się, bo wyraźnie powiedziano jest, że Bóg te rodzaje, które stworzył, a nie żadne inne, przywiódł do Adama;

2) że ani następnie się nie zmieniły, bo w takim

razie nie byłby natchniony autor książki Rodzaju napisał tych słów: wszystko, co nazwał Adam duszę żywiącą, to jest imię jego. Nazwa pozostać nie mogła, gdyby rzecz się była zmieniła. A jak słońce, gwiazdy i ziemia nazywają się w języku hebrajskim tak, jak Adam je nazwał, bo pozostały takimi w istocie, jakimi były za jego czasów, tak i zwierząt i roślin rodzaje pozostały niezmiennie. Oczywiście mówimy o niezmienności rodzaju, bo że jednostki, a z nich pochodzące rasy zmieniają się, nie przekraczając jednak nigdy granic rodzaju, przyznaliśmy i wyłożyliśmy powyżej.

Stoimy u końca naszej rozprawy. Podjęliśmy kwestyją zmienności rodzajów w sposób czysto naukowy: naprzeciw powadze Darwina stawiając inne, większe jeszcze powagi zoologiczne, a fakta, popierające niby jego hipotezę, rozbiierając bez najmniejszej predylekcyi do jakiegokolwiek systematu filozoficznego. Wykazaliśmy, że jedne z nich nic nie dowodzą na jego korzyść, a drugie świadczą przeciw niemu. Nareszcie obok wyroku nauki, niezależnie od niej, postawiliśmy wyrok teologiczny, bo dobrze jest doczesną wiedzę rozświecać połykami odwiecznej mądrości. Pragnę teraz przebieg dyskusyi i główny, ostateczny jej rezultat, w krótkim streszczeniu uprzytomnić czytelnikowi, a ponieważ dotąd wiele zaczępałem i odpięrałem, polemizowałem, postaram się o spokojną syntezę dodatnią, o ile dzisiejsza nauka dać ją jest w stanie.

Stan sprawy jest następujący: Darwiniści przytaczają tysiące spostrzeżeń, dowodzących, że jednostki, w o-

brębie rodzaju, zmieniają się, że nawet nowe powstają rasy. Wiadomo to powszechnie i na to zupełna panuje zgoda. Z tych faktów, samych w sobie prawdziwych, wyprowadzają fałszywy wniosek, że jeden rodzaj przechodzi w drugi. Temu przeczyimy i tego nigdy nie widziano. Ani jednego faktu na poparcie tego twierdzenia darwiniści nie mają. Jest-to twierdzenie bez podstawy.

Nauka twierdzi, przeciwnie, że jednostki ciągle się zmieniają, lecz że rodzaj pozostaje niezmiennym. Pierwsze tłumaczy, dlaczego żadna jednostka nie jest zupełnie podobną do drugiej, a drugie, dlaczego jest podobną. Jak daleko pamięć ludzka sięga, widzimy wszędzie różnaitość jednostek, a niezmiennosc rodzajow. Jeżeli gdzie, to tutaj, fakta świadczą wymownie.

Przeszło dwa tysiące lat temu opisał Arystoteles królestwo zwierząt. Podzielił je na klasy, które się w niczym nie różnią od klas Cuviera. Opisał wiele drobnych szczegółów, które do dnia dzisiejszego zachowały się w zupełności w tych samych zwierzętach.

Ale Arystoteles jest zbyt młody do podobnych porównań. Możemy się cofnąć o kilka tysięcy lat, do zamierzchłej przeszłości Egiptu. Mamy tu, w Rzymie, obeliski, pamiętające najdawniejszych faraonów. Cuvier stawał pod niemi i kopijował z nich wizerunki zwierząt. Okazały się nawet w drobnych szczegółach podobnemi do dzisiaj żyjących.

Przywieziono z grobów egipskich tysiące mumij zwierzęcych, koty, ibisy, małpy, krokodyle, wszystkie znakomicie zachowane, a wszystkie podobne do dzisiejszych gatunków. Przywieziono tysiące mumij i szkie-

letów ludzkich, a wszystkie podobne do ludzi naszego czasu.

Na cóż tu przyzywać więcej świadków? Nie znajdziemy więcej wiarogodnych ani mniej poszlakowanych, według Buffona, a świadkowie ci stwierdzają jednogłośnie, że rodzaj żaden się nie zmienił, lecz że każdy pozostał takim, jakim go Wszechmocny stworzył. Takie jest przekonanie ludzi prawdziwie naukowych, i darwińści ani zmienić go ani zachwiać nim nie potrafią, dopóki nie pokażą faktów przeciwnych.



CZŁOWIEK I MAŁPA.

(Wiara w pokrewieństwo człowieka z małpą. — Jakie jój źródło. — Podobieństwo organizmu ludzkiego ze zwierzęcym. — Powszechność i dawność tego spostrzeżenia. — Badania dzisiejsze nad tym przedmiotem. — Zdanie pana Vogta. — Badania fizyologiczne. — Zdanie pana Virchova. — Geologija ostatnią ucieczką materyjalistów. — Płonne nadzieje i geologija przyszłości. — Czym jest materyjalizm. — Zakończenie).

Bliskie pokrewieństwo rodu ludzkiego z małpami stało się dzisiaj tak powszechną wiarą w niektórych szkołach przyrodniczych, i budzi tak nadzwyczajne zajęcie we wszystkich warstwach czytającej publiczności, dla różnorodnych wniosków filozoficznych i moralnych z niej wypływających, że dłużej tej kwestyi pomijać nie wolno, ani odmawiać jój rozbioru.

Gdyby sami ludzie niedouczeni, dla niezajomości anatomii i fizyjologii nie umiając sobie dać rady z materyjalizmem, wyprowadzali siebie od orangutanów lub goryłów, byłaby rzecz znośniejsza, a nawet zasługująca na wielką z naszej strony pobłażliwość. Powiedzielibyśmy, że nie zrozumieli tego, co czytali. Ale gdy ludzie fachowi powiadają, że według najnowszych badań podobny rezultat nie ulega już żadnej wątpliwości, jest doprawdy

czemu się dziwić, a gdy się pokaże, iż *mala fide* tak mówią, jest nawet o co się gniewać.

Czy w istocie człowiek spowinowacony jest z małpą? Odpowiedź powinna być spokojna, nie twierdząca nic *a priori*, a w tym celu potrzeba koniecznie rozłączyć dwa odmienne zagadnienia: podobieństwo obu dwóch istot i pochodzenie tychże. Materyjaliści połączyli je w jeden przymusowy sylogizm, z podobieństwa zwiérząt dedukując ich rodowód. Ale to jest wniosek wadliwy, i dosyć jest przypatrzeć się przyrodzie, aby przekonać się o dowolności takiego wnioskowania.

Bardzo podobne do siebie istoty, jak koń i osioł, jak lis i pies, nie pochodzą od wspólnych przodków. Dlaczego? Bo stanowią oddzielne rodzaje, nie mogące razem wydać potomstwa płodnego. Na tój nieomyślniej polegając oznace, większość poważnych zoologów wierzy, że wszystkie jednego rodzaju istoty pochodzić mogą, i prawdopodobnie pochodzą, z jednéj pierwotnéj pary, a przeczy stanowczo, aby dwa lub więcej rodzajów mogło, choćby w najodleglejszój przeszłości, mieć jeden wspólny rodowód. Przeto nie podobieństwo kształtów, lecz płodność, jak już zauważył Buffon, jest najgłówniejszą cechą pokrewieństwa dwóch istot.

Chociażby przeto małpa jeszcze podobniejszą była do człowieka, aniżeli jest rzeczywiście, nie można na tym opierać żadnego »pokrewieństwa, przynajmniej nie można go podawać za rezultat nauki.

Widzę ze smutkiem, choć bez zdziwienia, że Darwin (już przed nim robili to wszyscy materyjaliści,) w najnowszym dziele swoim, bezustannie używa tego argumentu nienaukowego. Uznawszy, że między człowiekiem, stojącym na najniższym stopniu cywilizacji,

a najbardziej udoskonaloną małpą, jest przepaść nieprzebyta, mimo to twierdzi, że człowiek pochodzi ze zwierząt. A jednak za całą podstawę tak niezwyklego twierdzenia, i tak nienaukowej konkluzji, nie ma nic innego, jedno szczegól powszechnie znany, że człowiek przez te same przechodzi chwile rozwoju, co zwierzęta, że główne części ciała jego powtarzają się w zwierzętach, że nareszcie w życiu i zwyczajach niekiedy do zwierząt jest podobny. Pierwsze rozdziały swojej książki »o pochodzeniu człowieka« napełnił bardzo bogatym materiałem faktów i spostrzeżeń, stwierdzających tę analogiją.

Ale czego dowodzą te tysiączne szczegóły, tak mozolnie przez Darwina zestawione? Doprawdy, któż nie widzi, że człowiek jest podobny do zwierząt? Dostyć jest spojrzeć, aby się natychmiast o tym przekonać. Nie było potrzeba aż dwóch grubych tomów, aby na nowo dowieść tego, co wszyscy wiedzą. — Ale, mówią, Darwin właśnie dlatego tak skrupulatnie wykazuje podobieństwo człowieka do zwierząt, bo wypływa stąd, że sam człowiek jest zwierzęciem. Doprawdy jestto łatwa i wygodna droga, ale wątpię, czy rozumny, człowiek zechce po niej stąpać.

Od niepamiętnych czasów wiadomo, że człowiek jest duchem nieśmiertelnym, który przebywa w znikomym ciele. Można przeciw temu pisać, można nie wierzyć, ale to nie zmniejsza w niczym faktu powszechniej w to wiary; a nawet ci, co w to nie wierzą, tak żyją, tak czynią, jak gdyby wierzyli.

Pytam, jakie powinien zająć stanowisko naturalista wobec tego faktu? Widząc, z jednej strony, małpę, której istnienie razem ze śmiercią się kończy, z drugiej strony człowieka, z podobnym ciałem, to prawda, ale o którym, już tysiąc lat przed Chrystusem Panem,

wszystkie ludy twierdziły, że w nim przebywa druga istota nieśmiertelna, cóż pocznie? Dajmy na to, że nie wierzy, że wierzyć nie chce, że zapomniał, lub może nigdy nie poznał tradycyi chrześcijańskiej, (bo o takim badaczu tu mowa, i z takim walczymy), niemniej, jako naturalista, najostrożniejszym musi być z ludzi, i bardzo oględnie przystąpić do sprawy.

Mnie się zdaje, że jeżeli zachował w sobie jaką taką pogańską uczciwość, jakie takie rzetelne pragnienie wiedzy, i nieskrzywiony rozum starożytnych ludzi, zatrzyma się, zawaha, i w końcu sąd wyda, że dwie te istoty nie mają, w gruncie, nic ze sobą wspólnego. Bo już samo przypuszczenie, że to, co powtarzają wszystkie ludy od zamierzchłych czasów, może być prawdą, może kiedyś prawdą się okazać, odstraszy go od wszelkiej porywczej i zuchwałej hipotezy. A słysząc, że tu mowa o duchu, o nieśmiertelności i o pojęciach, leżących zupełnie po za granicami doświadczeń zoologicznych, (zoologija doprawdy nic mu o duszy nie potrafi powiedzieć,) poprzestanie na ogólnym twierdzeniu: że chociaż małpa i człowiek mają podobne do siebie ciała, jednak o pokrewieństwie żadnym mowy być nie może, gdyż większa i ważniejsza połowa człowieka nie należy do zoologii, nie ma nic wspólnego ze zwierzętami.

Cóż w tym dziwnego, że człowiek ma ciało podobne do zwierząt? Darwin i jego towarzysze tak o tym mówią, jak gdyby oni pierwsi odkryli to podobieństwo. A jednak chrześcijanie mówili zawsze, że duch Adama pochodzi od Boga, a ciało jego składa się z pierwiastków ziemi. Skoro człowiek ma ciało, będzie to ciało do czegoś podobne. A skoro jest najdoskonalszym ze stworzeń ziemskich, i jako ich król i pan wszystkie przedstawia w swój osobie, będzie on do wszystkich

pod jakimś względem podobny. Antropologija chrześcijańska zamyka się w tym krótkim zdaniu nieśmiertelnego mędrca z Hippony: *omnis creaturae aliquid habet homo.* (hom. 25 in Evang.)

Materyjaliści udają zadziwionych, że człowiek, niby lepsza i wyższa istota, tak się rodzi, rośnie, rozwija, żywi i umiera, jak inne zwierzęta. Doprawdy jest i czemu się dziwić! Skoro wola Najwyższego powołała do bytu istotę, duchem sięgającą nieba, a ciałem pełzającą po ziemi, zawieszoną między wielkością powołania swego, a lichością pochodzenia, zaiste ciało jój przypomni ciała inne, tak jak duch jój przypomina ducha bożego. I nic to nie ubliża godności naszej, że cielesne podobieństwo nasze pada właśnie na zwierzęta, te po rodzaju ludzkim, najdoskonalsze twory ziemskie. Jak świat roślinny podobny jest z wielu względów do świata nieorganicznego, bo tych samych praw słucha i téj saméj podlega konieczności; jak zwierzę w wielu funkcjach żywotnych powtarza w sobie życie rośliny, tak i człowiek, skoro dostało się mu ciało złożone z pierwiastków materyi, podobnym będzie do ciał innych, i podlegać będzie prawom materyi. — A że każde ciało więcej jest podobne do bliżej aniżeli do dalej stojących w rozwoju organicznym, będzie oczywiście człowiek podobniejszym do małpy, aniżeli do wielbłąda lub foki, bo ze wszystkich organizmów najdoskonalszy jest zwierzęcy, ze wszystkich zwierząt najwięcej rozwinięte są zwierzęta ssące, a ze wszystkich ssących najwyżej stoją małpy.

Cóż więc dziwnego, powtarzam, że istota obliczona w ciało, a królująca innym stworzeniom, podobniejszą jest do małpy, aniżeli do reszty zwierząt, a podobniejsza do zwierząt w ogóle, aniżeli do roślin. A jak zwierzęta z innych względów podobne są do roślin,

a z innych znowu do tworów anorganicznych, tak i człowiek czuciem do zwierząt podobny, jak mówi Augustyn św., z roślinami wspólne ma funkcje wegetacyjne, a z kamieniami wspólne prawa bytu. Wszystkie rodzaje stworzeń powtarza on w swéj osobie. *Omnis creaturae aliquid habet homo. Habet namque commune esse cum lapidibus, vivere cum arboribus, sentire cum animalibus.*

Zresztą nigdy nie przeczono temu podobieństwu, i najniesłuszniej w świecie ubolewają niedowiarki, że dawniej go nie znano, lub że naturaliści, w ultramontańskich zasadach wychowani, zmniejszali je, o ile mogli. Mnie się zdaje przeciwnie, że w starożytności grzészono, w téj materji, przesadą, bo chociaż nie znano małp tak podobnych do człowieka jak dzisiaj, (pierwsze orangutany przybyły do Europy dopiero w 17 wieku, a pierwsze wiadomości o gorylach mniej więcej w r. 1848,) przyjmowano, mimo to, zupełną tożsamość anatomiczną. A gdy wyobrażenia religijne i obyczaj sprzeciwiały się surowo krajaniu trupów, (odważniejsi lekarze podobno czasem wyłamywali się z pod tego prawa, mianowicie w Aleksandryi), używano małp do sekcji anatomicznych w mniemaniu, że anatomija małpy najdokładniejsze daje wyobrażenie o anatomii człowieka. Zwyczaj ten, ostatecznie ustalony powagą Galena, przetrwał wieki średnie; przez cały ten ogromny przeciąg czasu nie znano skądinąd budowy ciała ludzkiego, jeno z analogii, jaka zachodzi między nim, a organizmem małpy.

Doprawdy nie można było ani głośniej wypowiedzieć, ani wyraźniej stwierdzić podobieństwa dwóch typów. A gdy w siedmnastym wieku przywieziono z wyspy Borneo pierwsze orangutany, i dowiedziano się, że w języku krajowców nazywają się »ludźmi leśnymi«, nikt się temu nie dziwił; zostawiono im nazwę, a nikt

nie prostował. Gdy nakoniec, w sto lat później, wielki Linneusz, układając system swój zoologiczny, zestawiał orangutana z człowiekiem i kilkoma jeszcze czworonożnymi bestyjami w jednym szeregu prymatów, nikt się na to nie oburzył, zadawalniano się bowiem tym, że linneuszowy człowiek nazywał się: *homo sapiens*, skutkiem czego orangutan musiał poprzestać na skromniejszej nazwie: *homo insipiens*.

Podobne niedokładności zoologiczne były zresztą dozwolone w czasach, gdy znano bardzo powierzchownie zwierzęta zamorskie, gdy nie było ani muzeów, ani zwierzyńców dla nich urządzonych. Ale dzisiaj, choć posiadamy gatunki małp podobniejsze do człowieka od samych orangutanów, znając je jednak daleko lepiej i gruntowniej, aniżeli przodkowie nasi, podobnych niedokładności już nie znosimy, i poważniejsi badacze śmieją się głośno z mniemanego pokrewieństwa naszego z gorylami. Uczony anatom Aeby, którego nawet p. Vogt szanuje, przedrwiwa zapalonych darwińczyków, których własne ich badania i odkrycia tak daleko zawiodły, że już nie mogą pomiędzy człowiekiem a małpą żadnej różnicy dopatrzeć. »Doprawdy, mówi on, czasem, na widok rezultatów, do jakich dochodzą nauki ścisłe, dziwne budzą się we mnie myśli; tak i w tym razie, z niepowiązanych, sprzecznych nawet urywków, potrafiiono wyciągnąć najśmielsze wnioski.« (Aeby: o kształtach czaszek ludzkich i małpich, w Lipsku. 1867. str. 71.)

Zgadzamy się również z tym uczonym autorem, gdy mówi, na innym miejscu, że im głośniej i dobitniej twierdzą się podobne rzeczy, tym więcej badać trzeba podstawę, na której się opierają. Pragnąc zaś oddalić od siebie zarzut stronniczości w przedstawianiu faktów, tyjących się naszego przedmiotu, postanowiłem opierać

się, w dalszym ciągu, jedynie na znanych materyjalistach, a nawet, o ile się to da uczynić, własnymi ich słowami sprawę wytoczyć i rozebrać.

Szósty z »odczytów o człowieku«, (Giessen, 1863) poświęcił Karol Vogt różnicom, zachodzącym pomiędzy człowiekiem a małpą; i zaiste, jeżeli kto, to p. Karol Vogt nie był powinien ich podnosić zbyt, skoro w tychże samych prelekcjach zaręcza, że niewątpliwie rodzaj ludzki od małp pochodzi. (Tom II, str. 279.)

Na pierwszy rzut oka, mówi on, uderza człowiek prostą postawą, której żadne zwierzę czworonożne nie przybiera, chyba na czas krótki i wyjątkowo. A jakkolwiek twierdzono, że niektóre małpy z wielką łatwością chodzą na tylnych łapach, zwyczajem ludzkim, to jednak p. Vogt przeczy temu, gdyż żadna małpa w stanie dzikim nie chodzi inaczej, jak na czworakach, (mowa tu o chodzie ciągłym i regularnym,) jakkolwiek w tym chodzeniu u rozmaitych rodzajów rozmaite napotyka się modyfikacje.

I nic w tym nie masz dziwnego, bo cała budowa ciała zwierzęcego obrachowana jest na chód czworonożny I tak, podczas gdy człowiek prostopadle dźwiga głowę na karku, i swobodnie porusza nią na wszystkie strony, głowa zwierzęcia schodzi się z karkiem pod kątem rozwartym, który więcej lub mniej się zbliża do prostego. Stąd wynika, jako niezbędna antyteza, odrębny kształt karku, z bardzo silnymi i elastycznymi więzami, które głowę, z ciężącą na dół paszczką, trzymają w należytem zawieszeniu. Charakter ten, prawdziwie zwierzęcy, bynajmniej u małp się nie zatarł: a chociaż kąt, pod którym głowa zawieszona, więcej do ludzkiego zbliżony, jednakże kończyny grzbietu znacznie wystają, i są otoczone nadzwyczaj grubymi mięśniami i więzami, co

znajdujemy tylko u zwierząt, a czego w żadnym człowieku nikt nigdy nie widział.

Podobna różnica jak w pozycji głowy, uderza nas także w ramionach. Swobodnie z boku ciała zawieszone, zdolne są one u człowieka do najtrudniejszych poruszeń, i do prac najzawilszych. Podczas gdy wszystkie zwierzęta ssące używają przednich kończyn (gdy im nie służą do lotu lub do pływania) za podporę ciała w chodzeniu, — ramiona człowieka, jak widać z ich położenia i stosunku do ciała, zupełnie są niezdadne do tego rodzaju funkcji. A to, co powiedziano, tyczy się nawet małp najbardziej do człowieka podobnych, bo chociaż mają ramiona i ręce jak człowiek, mimo to, gdy im wypada po równie biegać ziemi, już po kilku susach lub chwiejnych krokach, opierają się zawsze na zawartych pięściach.

Słynny paryski zoolog Milne-Edwards miał pomysł bardzo szczęśliwy, i płodny w następstwa. Ażeby dokładnie oznaczyć stopień doskonałości w pojedynczych zwierzęcych organizmach, uciekł się do idei, której nowożytny przemysł zawdzięcza swój niesłychany rozwój, do idei specjalizowania pracy. Oto jak rozumuje: Im doskonalsze jest zwierzę, tym różnorodniejsza jest praca, przypadająca na organa ruchu. Gdy cztery nogi służą jedynie do chodzenia, oczywiście praca przez nie wykonywana jest najprostszą i najgrubszą; gdy zaś przednie nogi opatrzone są łapami chwytными, jak u bobra, lub wiewiórki, praca staje się rozmaitszą i doskonalszą, i t. d. Z tego więc względu małpa stoi wyżej od konia lub owcy i wszystkich innych zwierząt, gdyż ma cztery chwytne łapy, cztery ręce, które nietylko do chodzenia ję służą, lecz i do wielorakięj innęj roboty.

Ale tęż z tego samego względu małpa jest nieskoń-

czenie niższą od człowieka, bo chociaż ręka, w sobie wzięta, doskonalszym jest organem od nogi, służącej jedynie do chodzenia, to jednak cztery ręce, zmuszone zarówno i chodzić i chwycić, wadliwszą są organizacją, aniżeli dwoje rąk i dwoje nóg, nierównie doskonalej rozwiniętych, wykonywających osobno swoją specjalną pracę.

Gdy od użycia przejdziemy do proporcji organów ruchu, nowe odślonią się nam różnice, i tak: według ogólnego i stałego prawa, człowiek ma od małpy krótsze ramiona, a dłuższe i silniejsze nogi. Tę różnicę każdy od razu spostrzeże, kto się małpie w menażeryi przypatrzy, najlepiej to jednak widać, gdy małpa i człowiek staną na czworakach. Podczas gdy ona bez trudności grzbiet swój ustawi równolegle do ziemi, musi człowiek, chcąc tego dokazać, ramiona niemiłosiernie wyprężyć, i zgiąć kolana.

Ale nie wszystkie małpy mają ramiona téjże saméj długości co nogi, lecz co gorsza i niewątpliwie brzydsze, są i takie, które mają ramiona daleko dłuższe. Gdy obok człowieka najwięcej do niego podobne małpy staną w szeregu, w prostéj postawie, jak rekruci, okaże się natychmiast, że człowiek palcami sięga tylko do połowy uda, goryl palcami dostaje do kolan, szympanś do połowy golenia, a orangutan ów »człowiek leśny« nawet do kostek. Doprawdy, nie można sobie wyobrazić bardziej krzyczącéj różnicy.

Równie wielkie przeciwieństwa okażą się, gdy porównamy stopę ludzką z łapą zwierzęcia. Vogt nawet znajduje w niej jedną z charakterystycznych różnic obu rodzajów (tom I, str. 175), a już przed Vogtem inny materyjalista, Burmeister, nazwał nogę ludzką »charakterem ludzkości.« (Obrazy geologiczne. Lipsk 1851. Tom I, str. 63.)

Te istotne różnice, w ślad za p. Vogtem przez nas podniesione, tak są widoczne, że formalnie leżą jak na dłoni: a jest ich więcej jeszcze, w budowie piersi i miednicy, w udach i t. d., nie potrzebujemy jednak wszystkich przytaczać, i zastanowimy się jeszcze tylko nad różnicą głowy, téj najszlachetniejszej części organizmu człowieka i zwierząt.

I zaiste nigdzie nie ma tyle różnic, ani tak widocznych. Ażeby więc mózdz je objąć wszystkie należycie, trzeba, zwyczajem anatomów, rozdzielić głowę na dwie zupełne odrębne części, na czaszkę, i na twarz lub pysk, gdy mowa o zwierzęciu. Czaszka, jak odkryli niezależnie od siebie Gete i Oken, pierwszy w r. 1790, a drugi w r. 1806,¹⁾ jest dalszym ciągiem kręgów szyjowych, ich najwyższym rozkwitem i zakończeniem, bo zrośnięciem trzech nad miarę powiększonych kręgów. Tym sposobem czaszka i kręgi szyjowe stanowią jedną organiczną całość, podczas gdy twarz (pysk) jest tylko przyczepionym do niej dodatkiem, zupełnie jak żebra, lub miednica, przymocowane są do kości pacierzowej, ale nie stanowią z nią całości organicznie zrośniętej.

Nawet nieanatom od razu dostrzega, że twarz i czaszka w głowie ludzkiej w przeciwnym do siebie stoją stosunku, aniżeli w głowie zwierzęcej. »Twarz ludzka,

¹⁾ Spiérano się o pierwszeństwo tego odkrycia. Jest niewątpliwym, że Gete, przechadzając się w r. 1790 po cmentarzu żydowskim w Wenecyi, gdy służący wydobył z pod piasku rozbitą czaszkę barania, znalazł nagle ową »ideę zwierzęcia«, której już od lat wielu szukał. Co do Okena, to sam opowiada, że w r. 1806 podczas podróży w Harau, znalazł czaszkę zwietrzałą łani, a wtedy od razu zabłysła mu myśl, że czaszka składa się z kręgów. Mniemam jednak, że jeneński anatom pierwsze zarodki téj myśli zawdzięcza Getemu, lecz że sam ją później wypracował samodzielnie.

powiada Vogt, t. j. trójkąt pomiędzy brwiami, uszami i brodą, jest małym przyczynkiem do czaszki. « I rzeczywiście, czaszka, wznosząc się czołem nad brwiami, skroniami po bokach, a kością potyliczną ponad otworem potylicowym, formuje potrzebną jemu dla nieproporcjonalnie wielkiego mózgu. Przeciwnie małpa ma bardzo małą mózgowicę, czoło prawie żadne, a za to brwi wysoko sterczące. Otwór potylicowy, łączący mózg z mleczem, który u człowieka, mniej więcej, mieści się w środku, lub nawet w pierwszej połowie spodniej czaszki u małpy leży na tylnym brzegu, podobnie jak u innych zwierząt.

Różnica ta ogromna i zasadnicza pomiędzy głową człowieka, a głową małpią, sprawia w każdej z nich odmienną, że się tak wyrażę, topografią. Pysk małpy leży zawsze przed czaszką, i niejako ją poprzedza, podczas gdy twarz ludzka nie przed czaszką, ale pod nią jest zawieszona. Jeżeli dodamy ogólne spostrzeżenie, że czaszka ludzka zawsze jest większa od twarzy, a małpia zawsze daleko mniejsza od pyska, możemy zasadniczą tę różnicę wyrazić w krótkim jednym zdaniu, że głowa ludzka jest przedewszystkiem czaszką, a głowa małpy przedewszystkiem pyskiem.

To ogólne spostrzeżenie można stwierdzić liczbami, a wtedy wzajemny stosunek obu części głowy uwydatni się daleko jaśniej. Proponowano rozmaite sposoby wymierzania głowy, co nie jest łatwą do uskutecznienia rzeczą dla jej kulistej, a nierównej powierzchni. Z różnych metod, w tym celu używanych, weźmiemy najprzód tak zwany kąt Kampera, który choć nie jest wolny od pewnych niedokładności, a nawet nie zachodzi zupełna zgoda co do wierzchołka jego, jednak jest on ze wszystkich sposobów najprostszy i najłatwiejszy,

a, gdy piszący nie może tekstu swego objaśnić rysunkami, najlepsze dający wyobrażenie o wzajemnych proporcjach głowy.

Powstaje kąt ten, (tak większość zoologów przyjmuje), gdy od przednich zębów górnej szczęki pociągniemy jedną linią do najwybitniejszego punktu na czole, a drugą do ucha. Widoczna, że kąt ten obejmuje większą część twarzy, i w tym też celu Kamper go wymyślił. Będzie on tym większy, im bardziej czoło wystaje, tym zaś mniejszy, im bardziej czoło się cofa lub znika. Ponieważ, z drugiej strony, wypukłość czoła i wielkość jego ściśle się łączą z ilością mózgu, a tym samym i oznaką inteligencji, przeto można ustanowić prawo bezwzględne, że im czaszka jaka jest inteligentniejszą, tym większy jest kąt Kampera, a tym mniejszy, im bardziej czaszka jest zwierzęcą, t. j. im bardziej czoło znika, a paszczęka wysuwa się naprzód.

W europejskich czaszkach kąt Kampera zazwyczaj chwieje się pomiędzy 70—85°; u mniej rozwiniętych ludów będzie on oczywiście mniejszy, u murzynów wynosi tylko 67°, a u dzikich Makojasów z południowej Afryki spada nawet do 64°: najmniejsza to ludzka czaszka, jaką znamy dzisiaj. ¹⁾ Jakże jednak daleko od niej do największych czaszek małpich! W dorosłym szympansie tenże kąt nie przenosi 35°, a w orangutanie dochodzi tylko do 30°. Proporcycja ta wymownie pokazuje całą zwierzęcość głowy małpiej, stwierdzając niezmierną jej odległość od głowy człowieczej.

Oprócz kąta Kampera można jeszcze wiele innych

¹⁾ Ma się rozumieć, że tu mowa o głowach zdrowych i normalnych; anormalne czaszki n. p. kretynów i tym podobne, nie wchodzi w tę rachubę.

poczynić wymiarów na głowie, wszystkie pokazują uderzające różnice: przytoczymy jeszcze parę ważniejszych.

Objętość wewnątrz mózgową jamy, wyrażona w calach kubicznych, wynosi u Anglika 96, u Malajczyka 86, u murzyna tylko 85, a u Australczyka spada nawet do 75. I znowu pokazuje się ten sam niezmierny przedział, który nas uderzył w kącie Kampera. Najdoskonalsza mózgowica zwierzęcia goryla zawiera tylko 30 cali kubicznych, a szympansa i orangutana tylko 28.

Posłuchajmy tu przez kilka chwil samego p. Vogta: »Chociaż goryl, mniej więcej tegoż wzrostu, co australski murzyn, jednakże mózgowica drugiego o półtora razy większa, a stosunek ten jeszcze korzystniejszym okaże się dla murzyna, gdy wspomnimy, że nogi goryla stosunkowo są krótsze, a kadłub zato większy i potężniejszy« (Prelekcyje o człowieku. Tom I, str. 182). Dodaje tenże autor, że najmniejsza mózgowica ludzka, wymierzona przez p. Mortona, a nie pochodząca od idyjoty, zawiera jeszcze 63 cale kub.; podczas gdy największa znana czaszka goryla obejmuje tylko 34½ cala; i to są ostateczne granice głowy ludzkiej i zwierzęcej.

Kogo te liczby nie przekonały dostatecznie, ten, z innej strony przystąpić może do naszej kwestyi. Gdy głowę przetniemy wzdłuż i poprowadzimy linią prostą od kości nosowej do kości potylicznej, mniej więcej cztery piąte z tej linii przypadają u człowieka na długość mózgu, a tylko jedna piąta na długość twarzy. Gdy całą tę linią podzielimy na 100 równych części, wynosi długość mózgu u Europejczyka tychże części 89, u Australczyka 78·7, — u orangutana 47·7, a u goryla 45·9; — tym samym pozostaje na długość twarzy u Europejczyka 11, u Australczyka 21·3, u orangutana 52·3, a u goryla 54·1.

I znowu wypisujemy kilkanaście słów p. Vogta: »Jakkolwiek rzecz obrócimy, i z którejkolwiek strony ją rozważymy, pozostaje zawsze potężna przepaść pomiędzy układem ludzkiej głowy a małpięj, wynikająca z wzajemnego stosunku twarzy do czaszki. W żadnej małpie, nawet najbardziej do człowieka podobnej, nie dochodzi długość mózgu do połowy długości całej głowy, podczas gdy u człowieka najmniej rozwiniętego, długość twarzy małą tylko wynosi część długości całej głowy, gdyż u Australczyka nawet nie dochodzi do jednej czwartej.«

Słowa te czytamy u p. Vogta na str. 283 tomu I, jego wspomnianych odczytów, a bezstronny czytelnik przyzna bezwątpienia, że nawet zdaniem najgrubszego materyjalisty nietylko pod tym ostatnim względem, ale pod względem całego układu ciała, nieprzebyta przepaść dzieli człowieka od małpy. Dodam, że w tym punkcie p. Vogt ma wszystkie powagi naukowe za sobą.¹⁾ Ale idźmy dalej.

Przypatrywaliśmy się dotąd człowiekowi i małpie powierzchownie i anatomicznie, porównując szkielety,

¹⁾ Znakomity Aeby, po długich porównawczych studyjach przekonał się także, że w wielkim szeregu zwierząt ssących, stanowiących jakoby nieprzerwane stopniowanie, nie masz próżni, podobnej do téj, która dzieli człowieka od małpy. Nawet najmniej rozwinięta czaszka ludzka tak się oddala od najwięcej rozwiniętej czaszki małpięj, a tak się zbliża do normalnego ludzkiego typu, że lepiej byłoby, tak radzi p. Aeby, w imię porównawczej morfologii, nie wspominać więcej o podobieństwie dwóch tak różnych od siebie stworzeń. Bo nawet zewnętrzne, powierzchowne podobieństwo nie jest tak wielkie, jak zwykle sądzą, a pod każdym innym względem odstęp małpy od człowieka tak jest ogromny, a tak nieznanym między nią, a resztą zwierząt, że trudno pojąć, jak jeszcze ludzie fachowi bronią tego pokrewieństwa.

budowę ciała i inne niektóre właściwości dorosłych jednostek, a spuszczając zupełnie z uwagi rozwój dwóch tych istot. Potrzeba nam więc koniecznie od tego, co nieruchome i martwe, przejść do ruchu i życia, od anatomii do fizjologii. Tu już pożegnamy p. Vogta, a pójdziemy za gruntowniejszym przewodnikiem, prawdziwym fizjologiem. Słynny prof. berliński Virchow, głośny liberał, a głośniejszy jeszcze materyjalista, choć bardzo przyzwoity i wystrzegający się starannie rubasznosci voldtowskich, wydał w r. 1870 krótką, ale pełną dalekonośnych rezultatów rozprawkę: *Czaszka ludzka i czaszka małpia (Menschen- und Affenschädel. Berlin, 1870)*, w której kwestyją obecnie nas zajmującą rozbięra fizjologicznie. Nie potrzebujemy szukać lepszego i mniej podejrzanego przewodnika.

A najprzód, żeby nie stracić nic z téj rozprawki, powiemy, że w niej p. Virchow w tym, cośmy dotąd traktowali, popiera nas zupełnie, dodając bowiem jeszcze uwagę, że u małp kość paciierzowa jest zakończoną ogonem, i że nie tylko orangutan »człowiek lasów«, lecz wszystkie bez wyjątku małpy z predylekcyją drapają się na drzewa, i na nich, jako w prawdziwej swéj ojczyźnie, stale przemieszkują; wypowiada stanowczo to, co już przytoczyliśmy jako rezultat badań p. Vogta, że głęboka przepaść dzieli człowieka od małpy, i że dotąd żaden kształt pośredni téj przepaści nie wypełnił (str. 25—27).

Przejdźmy jednak na pole fizjologiczne, na którym, nie chcąc nic zostawić bez odpowiedzi, odeprę przedewszystkim utarty już sofizmat, przez p. Virchowa wprowadzie niepodniesiony, jednak przez innych, drobniejszych materyjalistów często powtarzany, który doskonale maluje płytkość téj dotkryny. Polega on na tym, że embryjony (zarodki) różnych zwierząt bardzo są do sie-

bie podobne, lub nawet nie różnią się wcale; przeto, mówią materyjaliści, wszystkie te zwierzęta rodzą się z jednego gatunku. Ale stąd, że zarodki, w pierwszych chwilach istnienia swego, wszystkie do siebie podobne się zdają, nie wynika wcale, aby niemi były rzeczywiście. Po miesiącu, nawet po tygodniu, nieraz po dniu jednym, pokazują nadzwyczajne różnice, których przedtem nasz wzrok niedoskonały i niewprawny dostrzedz nie umiał. Gdyby tych różnic nie było od samego początku, gdyby, jak Darwin mówi, zarodki człowieka, psa, foki, nietoperza rzeczywiście były tym samym, wtedy byłby największy cud ten, że zarodek człowieka zawsze się rozwija w człowieka, a nigdy w psa, zarodek foki zawsze w fokę i t. p. Różnica ciepła, pokarmu i innych okoliczności zewnętrznych, na rozwój zarodka wpływających, tak bezwzględnej stałości jednego z najważniejszych praw natury w żaden sposób wytłomaczyć nie może, różnica ta bowiem, zależąc od porządku, nie jest stałą, nie zawsze jest, a jeżeli jest między dwoma jednostkami tego samego rodzaju, często jest nierównie większą, jak między jednostkami dwóch bardzo nawet odległych rodzajów. Gdy zważymy, że stałe skutki nie mogą mieć przyczyn wypadkowych, i że te same przyczyny nie mogą mieć różnych skutków, (co scholastycy wyrażają krótką formułką: *«idem facit idem»*), okaże się cała próżnia materyjalistycznego twierdzenia. Bo ani słabość zachowania rodzajów nie może mieć swój przyczyny w okolicznościach przypadkowych ciepła, pokarmu i t. d., ale musi je mieć w zarodku samym, ani różnica rodzajów nie da się pogodzić z tożsamością zarodków ¹⁾. Nie zatrzymując się więc dłużej

¹⁾ Opowiadają, że sławny amerykański antropolog Agassiz,

nad tym śmiesznym zarzutem, przechodzimy do kwestyi ważniejszych.

Niektórzy materyjaliści podnoszą głośno szczegół, że głowa młodego małpiątka prawie w niczym się nie różni od głowy niemowlątka. A wtedy któż wie? Może dawniej, w korzystniejszych warunkach.. może kiedyś... na co przesądzać o przyszłości! Szczegół ten jest powszechnie wiadomy, i nie myślimy, ani nie mamy potrzeby go taić.

Tak jest, dwa te stworzenia, w pierwszych chwilach istnienia swego, mają główki nadzwyczajnie do siebie podobne; pyszczek małpiątka jest bardzo mało rozwinięty, szczęki są mało i prawie nic naprzód nie wysunięte, oko i brwi bardzo łagodne, nawet miłe, ciemię gładko wypukłe, a cała czaszka uderzająco podobna do czaszki dziecięcej. Jakto! zawoła niejednen, mogliżby materyjaliści mieć szłusność, że niegdyś, przed wiekami, natura, tym podobieństwem złudzona, zrobiła z małpiątka człowieka? Broń Boże! P. Virchow, któremu nie wierzyć nie mamy powodu, uspakaja nasz szybko, przytaczając fakt, równie jak poprzedzający powszechnie znany, że »z każdym miesiącem, z każdym rokiem, czaszka małp, nawet najwięcej do człowieka podobnych, staje się mniej podobną do czaszki ludzkiej« (str. 23).

U dorosłego goryla n. p. uderza nas na pierwszy rzut oka potężna głowa, ale cóż w niej jest wielkiego?

włożywszy jakiś zarodek w spirytus, zapomniał przyłożyć napisu, a w jakiś czas potym sam nie mógł już rozpoznać, czy to był zaród ptaka, czy ssącego zwierzęcia, czy gadu. Tym to faktem posługują się darwińści, niepomni, że zarodek, w dalszym rozwoju, byłby sam niewątpliwie powiedział o sobie, czym jest. Rzecz aż nadto widoczna, że podobieństwo zarodków dowodzi tylko niedokładności naszych oczu, nie zaś tożsamości istot.

Nie czaszka, która nie wyrosła, nie naczynie i miara dla mózgu, prawdziwe znamię społeczeństwa, lecz pysk, który z wiekiem wysunął się naprzód, ogromny i dziwnie brzydki, pokazujący nam kły potężne. Doprawdy, nie można dobitniej oddać charakteru zwierzęcego, jak przez tę okropną przewagę pyska nad mózgiem, która się czasami dokonywa. To samo dzieje się i u innych małp, a porównywając każdą dorosłą małpę z małpiątkiem, widzimy, że u niej, przeciwnie jak u człowieka: »rozwinęły się tylko organa prawdziwie zwierzęce, narzędzia karmienia i oddychania, podczas gdy ze wszystkich części głowy najmniej w małpach rośnie mózg¹⁾ (str. 25).

W całym zresztą organizmie małpy tenże rozwój odbywa się wręcz przeciwnie, aniżeli w człowieku. Przedewszystkiem pamiętać trzeba, że małpa krócej żyje, a prędzej dojrzewa, co także jest różnicą zasadniczą, jak i to, że małpa, jak większość zwierząt ssących, przychodzi na świat więcej rozwiniętą, aniżeli człowiek.

Chociaż nie znamy długości życia małp antropomorficznych, jednak wielkie jest prawdopodobieństwo, że nie dochodzą do lat, w których zazwyczaj organizm ludzki dopiero kończy swój rozwój. Tyle pewna, że zupełnie są rozwinięte, kiedy człowiek zaledwo poczyną być młodzieńcem, a płodzą potomstwa, kiedy człowiek jest jeszcze dzieckiem.

¹⁾ Sławny Bischoff, który długo studyjował porównawczą anatomiją mózgów, doszedł do takiego wniosku: mózg człowieka i mózgi trzech małp, najwyżej stojących: orangutana, szympansa i goryla, bardzo są do siebie podobne, gdy je ogólnie przyrównamy do mózgów innych zwierząt. Analizując jednak mózgi czterech owych stworzeń z osobna, widzimy z zadziwieniem, że nigdzie w szeregu zwierząt nie masz podobnego skoku, jak pomiędzy mózgiem człowieka, a mózgiem orangutana lub szympansa.

Gdy zastanowimy się dalej nad porządkiem, w jakim pojedyncze części organizmu małpiego rozwijają się ostatecznie, to i tutaj napotkamy zupełnie inne stosunki, niż w organizmie ludzkim. Mózg n. p. małpy jest już rozwinięty, zanim zaczyna się odmiana zębów; w ludziach przeciwnie, mózg na dobre się rozrasta z wyrzynaniem się zębów drugich czyli stałych. Po dokonanej téj odmianie zębów, która u małp prędkiej się odbywa, aniżeli u człowieka, dostają one dopiero ten straszliwy pysk, o jakim wyżej wspominaliśmy.

Skoro więc we wszystkich chwilach i częściach swoich, rozwój u małpy inaczej się odbywa, aniżeli u człowieka, jasna rzecz, że nigdy z małpy nie może powstać człowiek, ani z człowieka urodzić się małpa. I tu znowu wracamy do nieoszacowanej rozprawy prof. Virchowa. Oto co pisze:

»Gdy zważymy, że mózg małp antropomorficznych zawiera wszystkie zasadnicze części mózgu ludzkiego, i że mózg dziecka wielkością nie bardzo się różni od mózgu małpiątka, wyciągniemy stąd wniosek oczywisty, że jest chwila pewna, w której rozwój małpy i rozwój człowieka rozchodzą się w drogi zupełnie przeciwne. A zatem, im więcej małpa się rozwija, tym więcej staje się niepodobną do człowieka. Nawet największa małpa posiada mózg dziecka, podczas gdy pysk jój równa się prawie wołowemu. Jasna więc rzecz, że nigdy przez rozwój małpy nie może powstać człowiek, że przeciwnie, właśnie rozwój ten jest przyczyną owéj głębokiej przepaści, dzielącój człowieka od małpy« ¹⁾ (str. 25).

¹⁾ W przypuszczeniu, że niejeden z czytelników przeczyta z przyjemnością sąd uczonego antropologa p. Quatreages'a w téjże kwestyi, podajemy odnośny ustęp z jego popularnych odczytów o czło-

Jakżeż więc wypada nam odpowiedzieć na pytanie: czy rzeczywiście jest możebrym, aby człowiek pochodził z którejkolwiek z małp żyjących, jak to twierdzili i twierdzą niektórzy naturaliści. Ogólną na nie odpowiedź dałszy w poprzednich uwagach nad systematem Darwina. Powiedzieliśmy, że zwolennicy angielskiego materjalisty, wbrew wszelkim doświadczeniom zoologów, wyprowadzają jeden rodzaj zwierząt z drugiego. Razem z ich hipotezą upada także wymyślona przez nich genealogija człowieka. Ale obecnie odpowiedź nasza na tym podobne wymysły może być specyjalniejsza, a jest stanowcza i prosta:

Nieprzebyta przepaść dzieli dziś człowieka od małpy, dowodzi Vogt; nigdy przez rozwój małpy nie może powstać człowiek, dodaje Virchow. Oto ostatnie zdanie koryfeuszów materjalizmu, oto ostatnie słowo anatomii i fizjologii.

wieku: »Mózg jest niezaprzeczenie, ze względu na kwestyją, którą się zajmujemy, narzędziem najważniejszym, czy to u człowieka, czy u małpy... Wszyscy zgodnie kładą największą wagę na znamiona w nim występujące. Jakże więc odbywa się rozwój mózgu u małpy, a jak u człowieka? Mogę w kilku słowach wykazać fakt zadziwiający. Cała masa mózgu, zawarta w mózgownicy, rozpada się na różne części. Zastanówmy się nad dwiema, nad zawojem przyczółowym i nad zawojem przyskroniowym. Widoczna jest, że u zwierząt, które łączą węzły pokrewieństwa, wzrost tych dwóch zawojów powinien się odbywać tym samym sposobem. A jednak, co do tego punktu, jest między człowiekiem i małpą zupełne przeciwieństwo. U człowieka najpierw rozrasta się i najpierw dojrzewa zawój przyczółowy, a na końcu zawój przyskroniowy. U małpy, przeciwnie, tworzy się najprzód zawój przyskroniowy, a potem zawój przyczółowy. Niepodobna, aby dwie istoty, których rozwój odbywa się przeciwnie, pochodziły jedna z drugiej.«

Cóż więc począć, jak tu walczyć z naukami, o których się tak głośno mówi i które się tak wysoko wynosi!

Ale i na to jest sposób. Ostrożniejsi materyjaliści, bo Vogt swými wybrykami zbytecznie już skompromitował ich sprawę, nie wyprowadzają człowieka z małąp żyjących, czemu najelementarniejsza nauka stoi na przeszkodzie, lecz odsyłają nas do jakiejś istoty pośredniej, która nie była ani małpą, ani człowiekiem, a z której rozeszły się dwa oddzielne szczepy. Po milionach dopięro lat, po wymarciu wszystkich ogniów, łączących te szczepy, oddaliły się one od siebie tak bardzo, i tak mało stały się do siebie podobne, jakto dziś widzimy. Cała więc nadzieja tych uczonych polega na tym, że są, i że nawet znajdują się szkielety ludzkie, podobniejsze do dzisiejszych małpich, lub odwrotnie, szkielety małp, podobniejsze do ludzkich dzisiejszych. Te pośredniki są kwestyją żywotną dla darwinistów, i dlatego rozmaite poczynili zabiegi, aby je jakimkolwiek sposobem wynaleźć.

P. Vogt, krórego żywa wyobraźnia nigdy nie jest w kłopotcie, gdy potrzeba nadzwyczajnych środków zaradczych, widząc, że pono przyjdzie rozstać się ze słodką nadzieją wynalezienia ludzi więcej od murzynów do małp podobnych, lub małp więcej od goryłów podobnych do człowieka, boć przeszukano już wzdłuż i wszérz całą ziemię, postanowił wyratować siebie i materyjaliistów z téj toni, konceptem doprawdy rozpaczliwym.

Wiadomo, że czasem w dzieciach powtarza się typ dziadka, lub dawniejszego dalszego przodka. Powrót ten do typu, z pominięciem rodzicielskiego, nazywa się atawizmem. Otóż p. Vogt bierze kretyny, biédne istoty, o małych głowach, dla nierozwiniętego mózgu wskazane na ciągłą głupotę, za pierwotny i na nowo

powracający typ antenatów naszych, a ponieważ ich czaszki bardzo są podobne do małpich, nie ulega przeto, według niego, żadnej wątpliwości, że był czas, kiedy pierwsi ludzie w niczym się od małp nie różnili.

Ta nauka jednak, niedorzeczna i płaska, stawiająca zamiast Stwórcy kretyzizm u kolebki rodzaju ludzkiego, doczekała się zasłużonego losu, bo została wyśmianą przez wszystkich poważnych badaczy. A eby, prof. anatomii w Bernie, dowiódł jój autorowi, że to rzecz niesłychana, aby organizm chorobliwy miał być protoplastą organizmu zdrowego. Bo chociaż się zdarza, że, dla przyczyn nam niewiadomych, ze zdrowych rodziców nieraz rodzą się kretyny, nie widziano jednak nigdy, aby z kretynów cokolwiek się urodziło.

Virchow, zbijając twierdzenie Vogta, jakoby czaszka kretyna w niczym się nie różniła od czaszki małpiej (str. 31), podnosi potym niedorzeczność hipotezy ze stanowiska fizjologii. Darwinizm, tak on dowodzi (str. 31), tłumaczy powstanie nowych rodzajów przez walkę o życie. Ale jakże może powstać rodzaj, złożony z jednostek niedołącznych, niezdolnych do rozdziania się, ani do jakiegokolwiek walki. Kretyn rodzi się nieudolnym i takim zostaje, małpaprzec iwnie, przychodzi na świat z przedziwnym instynktem i nadzwyczajnymi zdolnościami. Kretyn zatem, tak kończy p. Virchow, jest chorobliwie człowiekiem zmienionym, to prawda, ale nie jest małpą.

Vogt i przyjaciele jego przywodzą, na poparcie swój hipotezy, dawne czaszki, stanowiące, według nich, jeżeli nie przejście zupełne, to przynajmniej zbliżenie do typu małpiego. Nie mam zamiaru poruszać tutaj na nowo kwestyi dawności rodzaju ludzkiego, tym bardziej, że ona w téj chwili nas nie obchodzi. Materyjaliści opié-

rając się na twierdzeniu, którego mają dowieść, a dotąd dowieść nie potrafili, powiadają, że im jaka czaszka starsza, tym więcej przypomina typ zwierzęcy. Nie chcąc się więc z niemi spięrać o dawność czaszek, przyjmujemy je za bardzo stare, a zobaczymy, czy się to im zda na co.

Vogt wyznaje, że nieliczne czaszki, znalezione w nawodziskach (tom II. str. 175 i nast.) nie różnią się od dzisiejszego typu szwajcarskiego. Wspomniony już prof. A e b y dokładnie wymierzył czaszki duńskie z tak zwanój epoki kamiennój, a zatym uchodzące za bardzo stare, i przekonał się, że prawie zupełnie się nie różnią od czaszek dawnych Egipcyan. Bardzo stare czaszki brazylijskie, przechowywane teraz w Kopenhadze, nie różnią się od czaszek dzisiejszych tubylców w Brazylii. Pozostaje dwie jeszcze czaszki, okrzyczane za najstarsze z pomiędzy znanych. Jeżeli gdzie, to na nich zaiste powinno być wyryte pokrewieństwo z typem zwierzęcym. Materyjaliści często o nich mówią, dlatego nie możemy pominąć ich milczeniem.

Pierwszą z nich znaleziono w Engis nad Mezą. Nie zachowała się w całości, bo brakuje jój niemal całej twarzy, a z tego już widzimy, że rozumowania oparte na tak ułomnym okazie nie będą bardzo dokładne. O ile jednak z rozmiarów sądzić można, nie ma ta czaszka nic zwierzęcego; czoło jest wypukłe, mózgownica nie różni się prawie od mózgownic Grenlandczyków, tubylców Australii lub innych plemion dzikich. Warto doprawdy czytać, jak biédny Vogt się męczy (tom II. str. 68 i nast.), aby ją podać koniecznie za bardzo podobną do zwierzęcych, a w końcu jednak wyznaje, że stoi w środku pomiędzy czaszką Australczyka i Eskimosa (tom II. str. 73), i że nawet pojedyncze czaszki

tego rodzaju, jak widać z porównawczej tablicy Welkera, napotykać się u Francuzów, Finlandczyków i Holendrów. Sądzę, że gdyby nie namiętna nienawiść do tradycyi chrześcijańskiej, byłaby ta ostatnia uwaga przekonała p. Vogta, że okrzyczana czaszka z Engis niczego nie dowodzi, a gdyby była nawet gorzej uformowaną, któż mu powiedział, że i ona nie była wyjątkową wśród czaszek swego plemienia. Ale z materyjalistami trudna w sporze naukowym sprawa: nie widzą, nie słyszą nic, prócz swoich przesądów.

Inny naturalista, mający daleko większą powagę w anatomii, anglik Huxley, o resztkach téj saméj czaszki wydał sąd odmienny. Chociaż gorącym jest wielbicielem Darwina, i małpiego pochodzenia ludzi, umie on panować nad sobą, i patrzy trzeźwiej na rzeczy. Opisał dokładnie pojedyncze części wspomnianej czaszki, dochodzi do takiego wniosku: »Wyznaję, że w resztkach téj czaszki nic nie ma takiego, po czymby można odgadnąć rasę, do której należy; rozmiary jéj zgadzają się z czaszkami australskimi, a nawet z niejedną czaszką europejską. Tyle pewna, że nie nosi ona na sobie żadnych śladów jakiegokolwiek duchowego upośledzenia, jestto nawet piękna czaszka, o średnich rozmiarach, która mogła należeć zarówno do filozofa, jak do bezmyślnego człowieka dzikiego. (*Zeugnisse für die Stellung des Menschen in der Natur*. Przekład Carusa. Brunświk, 1863, str. 174).

Niewątpliwie powinien sąd takiego Huxleya ciężko zaważyć na szali, tym bardziej, że p. Vogt, jak się czytelnicy przekonali, nie ma przeciw niemu żadnego argumentu. Możemy więc śmiało raz jeszcze z Huxley'em powtórzyć, że czaszka z Engis niczego zgoła nie dowodzi w sprawie pochodzenia człowieka.

Druga czaszka, także uszkodzona, znalazła się wraz ze szkieletem w dolinie Neandra, pomiędzy miastami Elberfeld i Düsseldorf. Jest ona bardzo spłaszczona, ma znaczne wypukłości nad oczami, czoło płaskie i wąskie, nawet cokolwiek wklęsłe. Materjaliści niektórzy z wielkiej radości nie widzieli już żadnej różnicy pomiędzy tą czaszką a małpią, a inny biędny angielski niedowiarek, p. King utworzył czymprędziej dla niej osobny rodzaj, stojący w środku pomiędzy nami, a małpami. Nazwał go: »homo Neanderthalensis«. Oczywiście farsa nie długo trwała, homo Neanderthalensis się nie wychował, posłużył tylko publiczności za dowód, że ojciec jego był: *homo insipiens*.

Poważniejsi uczeni mówią o tój czaszce z wielkim spokojem. Przytaczam, jak to czynić zwykłem, zdania kilku materjalistów, przywódców szkoły.

Lyell uważa czaszkę tę za tak wyjątkową, a wiek z którego pochodzi za tak niepewny, że wcale nie może służyć za odpowiedź na pytanie, czy dawniej był rodzaj ludzi więcej podobnym do małpy, aniżeli dzisiaj.

Huxley ze swój strony zaręcza, że ta czaszka ze wszystkich dotąd znanych najwięcej wyraża typ małpy, ale że bynajmniej nie dowodzi istnienia pośredniej istoty. Co najwięcej, można powiedzieć, że pochodzi od człowieka, który miał w głowie swojej coś małpiego. Jednakże i ten oględny a spokojny sąd Huxley'a niezupełnie jest ścisły, trzeba go w części uzupełnić pracą anatoma Szaafhausena, który piérwszy szkielet w Neanderthalu odkrył i opisał.

Sam Huxley dodaje, że podobieństwo z małpą odnosi się tylko do czaszki, pozostało niejako na po-

wierzchni, bo nie odbiło się w organizmie. W istocie, szkielet ma rozmiary Europejczyka średniego wzrostu, o bardzo silnych kościach. A co daleko ważniejsza, według prof. Szaafhausena, zawartość mózgowicy dochodzi do 75 cali kubicznych. Jestto zwykły mózg australski, lub hottentocki. Możemy więc i powinniśmy nawet, wobec tych szczegółów, sąd p. Huxley'a cokolwiek zmodyfikować.

Powinniśmy się zarazem zapytać, czym się to dzieje, że ludzie uczeni, na widok kości, których wiek tak jest niepewny, iż według Lyella mogą nawet pochodzić z czasów rzymskich, kości, nieróżniących się w niczym od szkieletów dzisiejszych Europejczyków, nagle podnoszą okrzyk radości, mniemając, że mają przed sobą nadaremnie szukanego małpozwierza. Wobec takiego, ciągle powtarzającego się faktu, musimy dojść do przekonania, że zaiste są ludzie, mniemający się uczonými, którzy już *a priori* postanowili człowieka wyprowadzić z małpy, i, gorączką trawieni, korzystają z każdej sposobności, aby wystąpić ze swoją niedorzeczną utopiją.

Skoro już mowa o czaszkach, nie możemy pominąć jednego jeszcze odkrycia, które zrobił p. Vogt. A dobrze jest zapoznać się z tego rodzaju odkryciami, bo nasi filozofowie liberalni z p. Libeltem na czele, mają nadzwyczajny szacunek dla p. Vogta, chwalą go polskiej publiczności, jako gruntownego badacza, a nawet rozszerzają jego zasady może więc być, że i to odkrycie do nas wprowadzą, a może nawet w przedhistorycznym Czeszewie znajdą się czaszki dawno wygubionych plemion, popierające teorię p. Vogt'a.

Otóż p. Vogt, studyjując dwie czaszki z Engis i z Neanderthalu, zastanowił się w muzeum berneń-

skim nad inną, bardzo do nich podobną. Podobieństwo to niespodziane zachęciło go do dalszych poszukiwań; nareszcie, po różnych muzeach szwajcarskich, i w grobach starożytnych, znalazło się dziesięć czaszek, mniej lub więcej podobnych do owych przedhistorycznych, a nawet zaręcza p. Vogt (tom II. str. 74), że w niektórych z nich podobieństwo do czaszki z Engis jest nadzwyczajne.

Ale jaki wiek naznaczyć tym czaszkom? Jeżeli się okażą nie bardzo starémi, to i starożytność dwóch czaszek z Engis i z Neanderthalu zniknie, bo jedynie dla anatomicznej budowy swojej uważane są za tak bardzo dawne. P. Vogt, w towarzystwie kilku innych uczonych, znalazł w końcu czaszkę z téj kategorii w starożytnym grobie helweckim, a obok niéj srebro pierścień, na którym przeczytano napis: *venatus*. Nie ulega więc wątpliwości, że grób ten, jak i niektóre inne miejscowości, w których znaleziono czaszki podobne, pochodzą z ostatnich czasów panowania rzymskiego w Helwecyi, z początku V.. lub najdalej z końca IV. stulecia.

Do kogo należą te czaszki? Nie są ani rzymskie, ani helweckie, mówi p. Vogt, a zatem muszą pochodzić od cudzoziemców. Już wniosek sam bardzo jest lekomyślny, bo i cóż dziwnego, gdyż wśród helweckiej ludności, gdzie zresztą tyle rodzi się kretynów, których czaszek, jak sam p. Vogt na innym miejscu mylnie twierdzi, nie można odróżnić od czaszek małpich, cóż dziwnego, że tam znajdzie się kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt głów, bardziej od innych podługowatych i bardziej spłaszczonych!

Ale p. Vogt, któremu nienawisć do chrześcijaństwa rozum odbiera, na tym nie poprzestaje. Wymyślił on

inny rodowód tych czaszek. Szczupła ich liczba pokazuje, mówi on, że pochodzą od cudzoziemców, którzy widocznie tu bez rodzin przybyli i nie zostawili potomstwa; a ponieważ, w ostatnich czasach rzymskiego cesarstwa, przybywali, jak wiadomo, do Szwajcaryi misyjnarze chrześcijańscy z Irlandyi, więc oni to niewątpliwie zostawili te czaszki. Że głowy ich przypominają stale typ małpy, nie powinno nikogo dziwić, to nawet rzecz zupełnie naturalna, bo to przecież misyjnarze chrześcijańscy.

Ustęp ten charakterystyczny, który z wielu podobnych wybrałem, godny doprawdy Dra Wunderlicha z doskonałej powieści Bollandena: »Nieomylni,« niech posłuży za przykład, jak podłe i głupie razem rzeczy drukują niemieccy profesorowie materjalizmu.

Z samego faktu my inny zupełnie wniosek wyprowadzamy. Jeżeli w IV. i V. wieku po Chrystusie, znajdują się czaszki podobne, jak dwie krople wody, do czaszek przedhistorycznych, to w cóż się obróci przedhistoryczność tychże, oparta jedynie na ich kształcie? Przypisywać zaś te czaszki misyjnarzom, celtyckim już nie jest anatomiją, lecz śmiesznym humbugiem anatomicznym, praktykowanym na coraz większe rozmiary przez zwolenników pogańskiego kultu materyi i przedchrystusowej ciemnoty.

A teraz czas już streścić to, cośmy dotąd powiedzieli. Wyznania materjalistów w téj całej sprawie są otwarte i jasne.

I. Małpa anatomiczną budową ciała różni się nieskończenie od człowieka. Na to zgadzają się: Vogt, Virchow, Darwin, Huxley, i wszyscy inni.

II. Fizyjologowie uważają za niepodobne wszelkie pokrewieństwo małpy z człowiekiem, gdyż dwie te istoty rozwijają się według praw różnych, w odmiennych zupełnie kierunkach.

III. Dotychczasowe badania geologów i naturalistów dowodzą, że żadnych pośrednich kształtów, wypełniających przepaść między człowiekiem a małpą, nie masz i nie było.

Materyjaliści nie przeczą tym faktom, stwierdzonym przez pierwszorzędnych anatomów, fizyjologów, geologów i naturalistów, nie przeczą, bo nie mogą.

Ale umykając, jak nietoperze, przed światłem prawdziwej nauki, odwołują się do — przyszłości! Vogt, Huxley, Darwin, powtarzają jednoznacznie, że pośrednie formy się znajdują, że się znaleźć muszą, że zapewne leżą w nieznanych krajach lub pod wodami mórz.

Mogą socyjaliści zapalać się do jakiejś idealnej »republiki przyszłości,« może pewien świat muzyczny marzyć o »muzyce przyszłości,« wolno i materyjalistom mieć swoją: geologiją przyszłości. Niech nam tylko nie każą brać na seryjo nauki, która się opiera na podobnej mrzonce.

Niekiedy wielcy myśliciele, od trybunału nauki, który ich potępił, odwoływali się do sądu pokoleń przyszłych, a te unieważniały wyrok pierwszy. Ale nie robili tego nigdy bez dowodów, bez dokumentów. Bez nich apelacja dozwoloną być nie może, i nie ma trybunału, któryby ją przyjął — chyba trybunał nieuctwa lub złej wiary. Snać o tym trybunale wiedzą materyjaliści, i znają jego dzisiejszą moc i potęgę, kiedy pozbawieni wszelkiej prawnej podstawy, jednak apelują.

Ale na nic im się to nie przyda wobec ludzi poważniejszych; przeciwnie, tym ostatecznym krokiem zrzucają z siebie nakoniec płaszczyk, za który się tak zręcznie chować umieją, ci, co tak głośno mówią o swój miłości do prawdziwej nauki, wywracając nakoniec wszelką naukową metodę. Jeżeli bowiem wolno brać dowody na kredyt, nie ostoi się ani jedna naukowa prawda, zawsze znajdzie się ktoś, co od niej założy rekurs do przeszłości, do przyszłych wynalazków, odkryć i do następnych pokoleń. A to już nie nauka, to tylko nauki płytkie, małpowanie i naukowe szalbierstwo.

Czytelnikom wydadzą się może wnioski nasze niedostateczne, i wyznają, że, pod pewnym względem, na zarzut ten zasługują. — Traktowaliśmy o człowieku zupełnie jak gdyby był czystym zwierzęciem, chociaż mówiliśmy, że anatomija i fizylogija nie obejmują całego człowieka. Ale chcieliśmy stanąć zupełnie na polu materjalistów, a nawet, pomimo znużenia ich płytkością, pomimo wstępu do ich cynizmu, szliśmy za niemi, aby ułatwić ich walkę i pokazać, że nawet z ich zasad, z wykluczeniem wszelkiej wyższej nauki, jedynie polegając na fizylogiji i anatomii, trzeba pokrewieństwo nasze z małpami uważać za fałsz gruby.

Jednakże wywrócenie hipotezy materjalistycznej, i okazanie jej nicości, nie jest jeszcze całą prawdą. Analiza błędów nie jest syntezą, lecz tylko przygotowaniem do niej. Synteza leży po za fizylogiją, po za zoologiją i anatomiją. Człowiek jest, co do ciała, zwierzęciem ssącym, ciało jego tylko należy do tych nauk, ale najważniejsze znamię jego, duch nieśmiertelny, i przeliczne wypływające stąd objawy, modyfikujące nawet jego życie zwierzęce, należą do innych nauk. Gdy

się do tych ostatnich nauk po światło udamy, wtedy i na nasze dzisiejsze pytanie otrzymamy odpowiedź inną, bo zupełniejszą; wtedy, zrozumiawszy daleko lepiej całą istotę ludzką, zdumiejemy się nad przepaścią, leżącą pomiędzy nią a zwierzętami. Ale to odkładamy do następnego artykułu.



CZŁOWIEKA MIEJSCE W ZOOLOGII.

(Przegląd najdawniejszych usiłowań klasyfikacyjnych Lineusza, Blumenbacha, Cuviera; — darwiniści z człowieka i małpy, robią tak zwaną klasę »prymatów« — na czym polega dobra klasyfikacja? — w życiu człowieka są objawy powszechne i stałe, niepowtarzające się u zwierząt; — żadne zwierze nie myśli ani nie mówi; — określenie człowieka, podane przez p. Quatrefages'a; Darwina krytyka władz umysłowych człowieka, — jego teorią mowy ludzkiej potępia zarówno lingwistyka jak psychologija; — skoro człowiek wielu istotnemi znamionami różni się od zwierząt, trzeba dla niego osobne królestwo utworzyć, — praktyczne korzyści téj klasyfikacyi).

Zoologija, ogłosiwszy swoją niezależność od reszty nauk, a mianowicie od filozofii, popadła, między innemi, w niemałą trudność, aby człowiekowi naznaczyć u siebie miejsce odpowiednie. Ciekawą jest rzeczą patrzeć na rozliczne téjże nauki usiłowania i na jój kłopot, który dotąd nie został uwieńczony pomyślnym skutkiem. I nic dziwnego. Zestawiona bowiem sama z chemiczną analizą i anatomiją, z menażeryją i wiwisekcyją, patrząc ciągle na zwierzęta, straciła zupełnie pojęcie człowieka. Podawała najrozmaitsze jego określenia, a każde brzmiało inaczej. Całe bogactwo sprzeczności rozumu ludzkiego zostało w tym razie wyczerpane, powiedział z goryczą Izidor Geoffroy St. Hilaire.

Zanim odpowiemy na pytanie, jakie stanowisko zajmuje człowiek wobec zoologii, przyjrzyjmy się, z tych sprzeczności, niektórym ważniejszym.

Twórca nowożytnej zoologii, wielki Linneusz, dopuścił się pierwszy błędu, bogatego w zgubne następstwa, postawiwszy człowieka z małpami i nietopierzami w jednym rzędzie, a co gorzej, nazwawszy człowieka i orangutana, który w owe czasy za wielką osobliwość uchodził, jednym i tym samym mianem: *homo*, dodając człowiekowi zaszczytny niby przydomek „*diurnus*,” podczas gdy orangutan musiał poprzestać na nazwie: *homo nocturnus*. Tak więc, biorąc tę nazwę według dosłownego znaczenia, możnaby we wszystkich wielkich miastach napotkać tłum orangutanów.

Płytką tę i ubliżającą człowiekowi klasyfikacją, już w roku 1779 zganił Blumenbach i idąc za myślą sławnego Buffona (r. 1766) zrobił z człowieka i małpy dwa oddzielne rzędy w gromadzie zwierząt ssących, opierając podział swój na liczbie rąk. Po nim Cuvier podział ten niejako ustalił, tak że do dzisiaj pozostał w wielu podręcznikach powszechnie używanych, gdzie w spisie dwunastu rzędów zwierząt ssących czytamy nazwy: dwurękich, czwororękich, rękoskrzydłych i t. d.

Podział ten, jak trafnie zauważył wzmiankowany już Izidor Geoffroy St. Hilaire nie zadowolnił ani antropologów, ani zoologów: pierwsi widzieli w nim poniżenie człowieka, a drudzy, utyskiwali na zbyt wielkie jego wyszczególnienie; pierwsi powoływali się na jego duchową i moralną wyższość, drudzy, na zasady klasyfikacji zoologicznej według cech jego zwierzęcych. I słusznie! Bo człowiek, zbyt wysoko góruje po nad innymi stworzeniami ziemi, aby mógł uchodzić za jedną

rodzinę w gromadzie zwierząt ssących; z drugiej znowu strony, jeżeli jedynie organizm ciała ludzkiego weźmiemy na uwagę, podobniejszy on do małpy, aniżeli ta do nietopérza lub do zwierzęcia drapieżnego. Nié może więc on na téj zasadzie stanowić oddzielnego rzędu, nakształt małpy, nietopérza i t. p., lecz chyba objętym być musi razem z małpami.

I tak, jak się to zawsze dziać zwykło, usiłowania, obliczone na pogodzenie dwóch przeciwnych sobie mniemań, żadnego nie pozyskały i zaliczone zostały do środków połowicznych i chwiejnych. Klasyfikacja ta wstrętną być musi każdemu, głębiej myślącemu człowiekowi, a zoologowie, choć mają ją we wszystkich prawie książkach, już dawno w nią nie wierzą.

Jest rzeczą naturalną, że przedewszystkim darwinisci musieli zerwać stanowczo z tym podziałem, i cofając się powrócili do dawnego »bystrego,« jak mówią, podziału Linneusza, odmieniwszy go, stósownie do potrzeb czasu i do nowszych odkryć zoologicznych. Nie mówią więc już nic o człowieku dziennym i nocnym, ani o dwurękich i czwororękich, lecz wszystkie gatunki małp i cały rodzaj ludzki zaliczyli do jednéj wspólnej klasy tak zwanych prymatów.

Opiérają się głośniejsi z pomiędzy nich: Huxley, Lyell i sam Darwin na fakcie dosyć jeszcze spornym, że podobno w wyższych gatunkach małp anatomiczna budowa tylnych rąk zupełnie do budowy nogi podobna i tylko powierzchownie przedstawia pozór ręki; przytaczają i to, że mózg człowieka i mózgi wszystkich gatunków małp bardziéj do siebie podobne, aniżeli mózgi małp i bezpośrednio po nich idących zwierząt. Nakoniec kładą nadzwyczaj silny przycisk na to, czego dotąd wprawdzie nie poparli żadnym dowodem,

ale co u nich, mimo to, za pewnik uchodzi, że różnica między człowiekiem a małpą daleko jest mniejsza, aniżeli między małpą, a resztą zwierząt. Stąd, według nich, konieczny wniosek, że człowiek i małpa zaliczeni być muszą do niejednej gromady, ale do jednej wspólnej rodziny w gromadzie zwierząt ssących.

Zresztą zbyt głośna radość darwinistów, gdy mogą wykazać w mózgu jakiegoś idyjoty lub dziecka, zmarłego przed czasem, drobne jakieś cechy większego podobieństwa do mózgu małpiego i ich pracowite zestawienia podobnych jednostek z wielką stratą czasu i szkoda dla sprawy, która pozorami argumentów tylko może się przewlec, nie zaś rozstrzygnąć, obudza wielkie wątpliwości i co do tych faktów, które się zdają być u nich najsilniejszymi poparte dowodami. Ale nie to jest jedyny powód, dla którego mniemanie tych panów nie powinno nigdzie znaleźć uznania.

Najsilniej przeciw nim świadczy zdrowy rozsądek, który wie, że gdy chodzi o człowieka i o naznaczenie mu miejsca, przynależnego w jakiegokolwiek umiejętności, a więc i w zoologii, bardzo podrzędną rolę odgrywa mniejsza lub większa liczba kosteczek lub różnice w zwojach mózgowych. Klasyfikacja człowieka tym mniej od tego zależy, czy niektóre chorobliwe lub nierozwinięte jednostki więcej lub mniej przypominają typ małpi, boć tu nie o dzieciach i nie o kretynach mowa. Oprzecz ją możemy jedynie na dorosłych i zdrowych jednostkach, a w nich nie dosyć jest porównywać ważniejsze zewnętrzne znamiona organizmu, ale trzeba także wciągnąć w rachubę wszystkie żywotne objawy tegoż organizmu. Ani bowiem pletwy wieloryba, ani dziób australskiego kaczonosa nie są w podziale zwierząt skazówką; a nie większą, jak zobaczymy, wartość mają

w człowieku cechy, że ma dwoje rąk lub pewną liczbę zawojów mózgowych.

Umiejętność, w tym wypadku, popiera stanowczo ogólne mniemanie zdrowego rozsądku, stawia bowiem, jako główną zasadę dobrej klasyfikacyi, by wszystkie istotne własności pojedynczych rodzajów, do jednego rzędu lub królestwa należących, i wszystkich jednostek, objętych jednym rodzajem, były wspólne, aby w żadnej z jednostek nie było czegoś istotnego, co by było wyjątkiem od ogólnego charakteru rodzaju, a tym mniej całego rzędu lub królestwa.

Jak ważną jest zasada ta, powszechnie przez prawdziwych naturalistów przyjęta, dość spojrzeć na klasę zwierząt i roślin. Łatwo bardzo rozróżnić lwa od słonia, a dęba od figi, ale na kończynach zwierzęcego świata, schodząc coraz niżej, znajdują się żyjątka tak drobne, z organizmem tak prostym, że zewnętrzną swą budową od nasion niektórych roślin wodnych wcale się nie różnią. Jeżeli jednak, pominiawszy budowę organiczną, posiadają one jedną własność istotną, jednym objętą wyrazem: życie; jeżeli mają czucie i ruch samodzielny, jakiemuż naturaliście przyjdzie na myśl podporządkować je, już nie powiem pod jakiś rodzaj roślin, ale nawet pod całe ich królestwo?

Skład i budowa ciał na odróżnienie świata organicznego i nieorganicznego wystarczyć może, brać ją za podstawę podziału na wyższych szczeblach stworzenia, jest po prostu niedorzecznością, lub chęcią okłamywania siebie lub drugich.

Mając tak wyborną podstawę klasyfikacyi, chodzi więc jedynie o zastosowanie jej do człowieka. Jeżeli w nim pokażą się wyłącznie cechy, które napotykamy wszystkie u zwierząt, zostawimy go wśród nich; jeżeli,

przeciwnie, odkryjemy w nim coś, co należy do jego istoty, a czego żadne zwierzę nie posiada, nie pozostaje nam nic innego, jak utworzyć dla niego odrębne zupełnie królestwo.

Cały zatym spór, mącający spokój zoologów, daje się sprowadzić do jednego pytania: czy są w życiu człowieka objawy powszechne i stałe, niepowtarzające się w żadnym zwierzęciu? Na to odpowiedzieli uczeni wszystkich wieków: człowiekowi i wszystkim zwierzętom wspólny jest organizm i życie, wspólne czucie i ruch samodzielny; człowiekowi i wielu zwierzętom wspólne są nawet specjalniejsze funkcje życia, żywienie się, wzrost i rodzenie się, — ale są dwa objawy, których dotąd w żadnym zwierzęciu nie odkryto, dwa objawy, które tworzą tak wielką, tak widomą różnicę między nim a człowiekiem, że przy niej przedział między zwierzęciem a rośliną zdaje się być niczym, a objawami temi są: myślenie i jego skutek mowa.

Jeżeli przytrafia się niekiedy przyrodnikowi, że wobec najniższych okazów królestwa zwierząt i roślin, przy wielkiej nawet uwadze, nie wie z pewnością, czy ma przed sobą jedno lub drugie, nic podobnego nigdy nie zdarzyło się nikomu na widok człowieka i zwierzęcia.

Proszę uważać: że nie mówię: na widok człowieka i tego lub owego zwierzęcia, bo na pierwszy rzut oka łatwiej można wziąć małpę za człowieka niż za konia, ale mówię: na widok człowieka i zwierzęcia w ogóle. Podróźni dalekich i nieznanych krajów wiedzą, czy kraje te zaludnione czy nie, nietylko pierwój, nim zmierzają i porównują czaszki i zawoje mózgowie wszystkich znajdujących się tam stworzeń, ale pierwój

nawet, nim zobaczą człowieka. I wnoszą to nie po śladach stóp ludzkich na piasku, ale po śladach nierównie wymowniejszych — ludzkiej myśli. To nam przypomina dawnego mędrca greckiego, który z rozbitkami wypłynąwszy na brzeg nieznaną, a zoczywszy na piasku jakieś figury matematyczne, pocieszył towarzyszy swoich, że miasto musi być niedaleko.

Im więcej materyjaliści wynajdują podobieństw małpy i człowieka, tym więcej fakt ten zadziwia, tym jaśniej dowodzi, że między człowiekiem a zwierzęciem jest różnica, nie na kształtach ciała oparta, a jednak nierównie większa od tej, która dzieli pojedyncze zwierząt gromady lub nawet zwierzę od rośliny. Może właśnie, dzięki wywodom tych panów, nie pozostaje nam dzisiaj nic innego, jak utworzyć dla człowieka osobne królestwo. Będzie ono najwyższe, najdoskonalsze z czterech królestw, na które rozpadają się wtedy wszystkie stworzenia i pono z wielkim wstydem, po tyłu nieszczęśliwych, omackiem robionych próbach, przyjdzie nam wrócić do owego dawnego wiekopomnego określenia, które wtedy dopiero w umysłach się zatarło, gdy protestantyzm zagłuszył w ludzkich umysłach filozofiją wielkiego stagiryty i nieśmiertelnego mędrca z Akwinu.

Według tych filozofów bowiem po jednej stronie w przyrodzie stawa odrębnie człowiek, *animal rationale*, a po drugiej stoją osobno wszystkie bezrozumne zwierzęta. Przeciwnie, *homo sapiens* linneuszów (jak się rodzaj nasz także w jego systemacie nazywa), potrzebuje koniecznie, jako przeciwstawienia, nie zwierzęcia, lecz jakiegoś rodzaju zwanego: *homo insipiens*, którym nie może być nic innego, jeno małpa, z którą człowiek wtedy musi razem stanąć w spólniej gromadzie zwierząt ssących.

Zapatrywanie to, jak czytelnicy widzą, nie jest ani

nowe, ani oryginalne. Ale ponieważ dzisiaj nie bardzo popłaca odwoływanie się do powagi scholastyków, zwłaszcza gdy mowa o rzeczach z dziedziny nauk przyrodzonych, wspomnę tutaj, że, w nowszych czasach, dwóch znamienitych zoologów, niedawno zmarły Izidor Geoffroy Saint-Hilaire i żyjący jeszcze Quatrefages, po dokładnych badaniach i zupełnej znajomości dzisiejszego stanu nauki, przyjęli, jako owoc swój pracy, stanowczą zasadę: utworzenia osobnego królestwa dla rodu ludzkiego.

P. Quatrefages wypowiada bez ogródki, że człowiek tak dalece od zwierzęcia się różni, jak zwierzę od rośliny, a to usprawiedliwia dostatecznie ustanowienie odrębnego królestwa, które samo w sobie również jasnymi i ściślemi odznacza się znamionami, jak królestwo roślinne lub zwierzęce. (*L'unité de l'espèce humaine*, str. 17 i nast.) I dowodzi on tego twierdzenia swego doskonałym zestawieniem zjawisk ludzkiej natury, które zupełnie obce są zwierzętom.

Te zjawiska oczywiście nie mieszczą się w budowie organizmu, tak jak i zjawiska, różniące rośliny i zwierzęta nie w tym się mieszczą, ale potrzeba się tu udać do dziedziny duchowej i tam przypatrzeć się wszystkim objawom życia umysłowego, religijnego i moralnego, których żaden lud na powierzchni ziemskiej nie jest pozbawiony, a których przybliżonego nawet podobieństwa nie widziano nigdy w zwierzętach.

Owocem tych badań i ostatecznym wynikiem jest u p. Quatrefages'a przydłuższe nieco określenie, które jest raczej parafrazą dawnego określenia scholastycznego: człowiek, mówi on, jestto istota organiczna, żywa, posiadająca czucie i ruch, moralność i religijność. (Tamże str. 36).

Nié mogę na tym miejscu pominąć, że inny, wielki zoolog francuski, p. Milne-Edwards mówiąc o usiłowaniach dopięro-co wspomnianych kolegów swoich, oświadczał się przeciw nim, nie mając jednak dostatecznych ku temu powodów. Nie uważam bowiem za takie, choć dowcipnej lecz płytkiej uwagi, że to już do metafizyki, a nie do zoologii należy, lub że we Francyi większość zoologów przeciwnego jest zdania. Drugie nie może stać na przeszkodzie przyjmowaniu pomysłów nowych, jeśli są prawdziwe, a co do metafizyki, nie powinna żadna nauka pozostać obojętną na jój wyniki. To téż p. Milne-Edwards, choć nie wypowiada przekonania swego, mniej więcéj to mówi: »może ci panowie mają słusność wobec metafizyki, ja jednak wolę pozostać przy dawnéj rutynie.« *Rapport sur les progrès récents des sciences zoologiques en France*, str. 484).

Okréślenie p. Quatrefages'a pobudziło do wielkiego gniéwu znanego nam już dobrze p. Vogta, co dowodziłoby tylko jój dobroci. Mnie jednak w téj chwili nie chodzi o samo okréślenie, które zresztą ma swoje niedostatki, lecz o rzecz samą, t. j. o konieczność umieszczenia człowieka w innym miejscu, aniżeli dotąd mu wyznaczane w podręcznikach zoologii. Potrzebę tę znakomity Quatrefages i głéboko uczuł, i jasno wyłożył, dlatego tutaj powagę jego przytoczyłem.

Bardziej jeszcze mojej sprawie posłuży powaga samego p. Darwina. On bowiem, wyłożywszy fizyczne podobieństwa, łączące człowieka z małpą, robi w końcu cenne bardzo wyznanie, że wszystkie te ślady pochodzenia człowieka z niższej jakiegóś formy zwierzęcej, nie dowiodą należycie hipotezy, dopóki między człowiekiem a zwierzęciem zosta-

nie nieprzebyta przepaść władz moralnych i duchowych. I w istocie, tak on rzecz swoją dalej ciągnie, dusza najbardziej upadłego dzikiego człowieka, który do pięciu liczyć nie umie, ani wyrazów odczuwanych nie posiada na oddanie swoich uczuć i myśli, porównana z umysłowością najdoskonalszej małpy, jeszcze pokaże różnicę niesłychaną, a różnica ta pozostanie, choćby nawet małpa do tego stopnia się podniosła nad ród swój, jak pies domowy podniósł się nad nieokrzesanego wilka lub szakala. (O pochodzeniu człowieka, tom I. str. 28).

Nie przeszkadza to wprawdzie bestronnemu autorowi postawić małpę i człowieka w jednym rządzie, i na innym znowu miejscu, gdzie mówi o zoologach, mieniących rodzaj ludzki osobnym królestwem, robi uwagę, że mieliby do tego prawo, gdyby umysłowość zwierzęca od ludzkiej nie tylko ilością lecz także jakością się różniła. Przytacza zarazem przykład mszycy (*coccus*), która niesłychanie niżej od mrówki stoi władzami umysłu, u jednak do jednej z nią gromady należy. (O pochodzeniu człowieka, tom I. str. 162).

Podobną tylko różnicę, jak między mszycą a mrówką, przypuszcza Darwin między zwierzęciem a człowiekiem. Wtedy, rzeczywiście, nie ma żadnej racji oddzielać człowieka od małpy, a jeżeli wszystko prawda, co Darwin o zwierzętach mówi, daleko bardziej mszyca razi obok mrówki, aniżeli małpa obok Leibniza lub Goetego.

Zwierzęta, wedle Darwina, porównywiają, zastanawiają się, decydują, robią doświadczenia, a nawet robią zbiorowe i trwałe postępy, mają pewne, choć słabe, poczucie architektury, odzieży, własności, a co ważniejsza, mają różne cnoty i grzechy i mają odpowiednie

swemu stanowisku sumienie! Słowem robi z nich uczony zoolog rodzaj półbogów, posiadających nawet wiadomość złego i dobrego, którą wąż przyrzekał naszym pierwszym rodzicom w raju — *eritis sicut dii*.

Wnioski takiego rozumowania są bardzo proste, namacalne. Nie masz ani jednego objawu w życiu duchowym człowieka, któryby nie miał odpowiedniego tej samej natury w życiu zwierząt. Nawet najszczytniejszym poruszeniem naszego jestestwa odpowiadają zjawiska zwierzęce, które albo je przypominają zbliżone, albo przypomniećby mogły, gdyby zostały rozwinięte należycie.

Tutaj musimy już autora zatrzymać, zaszedł bowiem dość daleko, aby kilka prostych uwag wykazało całą niedorzeczność jego twierdzeń i całą przewrotność wywodów. Tu znowu powiemy: zwierzęta mają czucie, więc mają zmysły, mają nawet zmysł wewnętrzny, mają wyobraźnię, pewien zmysł kombinacyjny i rodzaj pamięci — zgoda. Nie mamy powodu przeczyć temu, co przyznawali zawsze wszyscy wielcy myśliciele. Ale nie mają, powtarzamy, ani myśli, ani władzy koniecznego objawu mowy.

A pamiętajmy tu zaraz, że mowa nie jest bynajmniej pewną ilością znaków naturalnych, na wyrażenie pewnej ilości wrażeń, jak to spostrzegamy i u zwierząt, ale są to bardzo liczne znaki sztuczne, służące do wyrażenia całego bogactwa pojęć ogólnych i oderwanych, duchowi tylko przystępnych. To też mowa jest konieczną szatą wszelkiego myślenia, a nawet więcej jak szatą, jest jego ciałem i postacią. Myśl, która słowami wyrazić się nie da, dla nas nie istnieje, a znowu słowa bez myśli czczym tylko są brzmieniem. Kto więc twierdzi, że zwierzę, podobnie jak człowiek, myśli, powinien

wykazać, że podobnie mówi. Dopóki jednak będzie rzeczą pewną, że śladu nawet mowy u zwierząt nie ma, na jakiejże podstawie można u nich przypuszczać myślenie?

Prawdą jest, że papugi, oraz inne ptaki wymawiają każdą głoskę i wyraz każdy. Mimo to nigdy ze sobą nie rozmawiają. Oczywiście nie dlatego, że brak im stosownego narzędzia, lecz że nie mają o czym mówić, a nie mają o czym, bo nie myślą. To samo we wyższych rodzajach małp widzimy. One także mówiłyby pewno gdyby myślały, bo mają narzędzie mowy zupełnie do naszego podobne. Przeciwnie, ludzie, nawet najdziksi, mówią i cywilizowany Europejczyk niedługo potrzebuje czasu, by się ich mowy nauczył i z niemi rozmawiał.

Darwin tłumaczy brak mowy u małp niedostatecznie rozwiniętym umysłem. Ale dlaczegoż wszelkie usiłowania nasze ani troszkę rozwinąć go nie mogą, jeśli między nim a umysłem ludzkim nie zachodzi zasadnicza, wewnętrzna różnica jakości?

Głuchoniemi także nie mówią, ale jednak zwykli oni myśli swoje jakimiś znakami tłumaczyć, a znaki te, wyobrażające zawsze ogólne pojęcia, mogą nam służyć zamiast wyrazów i umożliwić z niemi rozmowę. Czyż widziano coś podobnego u zwierząt? A zwierzęta swojskie, chociaż rozumieją niby pewne słowa ludzkie, którym stale towarzyszy jakiś przedmiot lub akcja im znana, choć słyszą i mają potrzebne organa wydawania głosu, nie zrozumiały nigdy, co ludzie między sobą mówią, przysłuchując im się już blisko sześć tysięcy lat.

I doprawdy, wielkie to szczęście! Bo jeżeli człowiek, który zapomniał, że jest człowiekiem i zbliżył się do zwierzęcia, bez rogów i pazurów, jest jednak tak straszną

istotą dla innych ludzi i dla społeczeństwa, jedynie dlatego, że mówi — o ileż straszniejsze byłyby zwierzęta mówiące. Z jakąż wtedy skwapliwością uczyliby się ich języka materyjaliści, nihiliści i członkowie międzynarodowej demagogii, by mieć z nich sprzymierzeńców w dziele zniszczenia, które gotują światu cywilizowanemu.

Ale wróćmy do rzeczy. Nie sam brak mowy świadczy u zwierząt o braku myśli, bo jeźliby zwierzęta myślały, miałyby refleksyjną własnych czynności i mogłyby je ciągle doskonalić. Przypatrzmy się więc rozwojowi zwierząt. Czyż one kiedy posunęły się naprzód od tylu tysięcy lat? czyż podobny rozwój, świadczący o przebudzeniu się myśli, widać choćby w jednostkach? Ogromna większość zwierząt od pierwszych chwil istnienia swego jest zaopatrzona we wszystkiaz narzędzia, instynkta i inne środki, potrzebne do swego istnienia i najczęściej, rychło od rodziców opuszczone, samodzielnie żyje. Gdy schodzą ze świata, spłodziwszy liczne potomstwo, można o nich śmiało powiedzieć, że spełniły zadanie swoje. Nic innego po nich nie zostaje: ani żadna nowa myśl, ani żadna praca, różna od zwykłej, temu zwierzęciu właściwej, niczego też więcej po nich się nie spodziewamy, a nowe pokolenie zaczyna wszystko na nowo, tak jak pokolenia poprzednie. Człowiek i tylko człowiek może czegoś zwierzę nauczyć, ale jednostkę i tylko jednostkę; nigdy jednak nie zdołał ucywilizować całego rodzaju, choćby tylko parę pokoleń.

Zwierzęta nie korzystają z wynalazków ludzkich, nie używają narzędzi, nie zaprowadzają ulepszeń — wszystko u nich dziś tak, jak przed wiekami i pozostanie tak do końca świata. Gdy więc, spojrzawszy na

olbrzymią działalność ludzką i na niezliczoną ilość kierunków rozwoju ludzkości, zapytamy o przyczynę tak ogromnej i zasadniczej różnicy, zobaczymy, że nie można wykazać innej, jak tylko myślenie i mowę.

Widocznie Darwin albo nie czuł całej siły tego koniecznego wniosku, albo też umyślnie przezeń przeskoczył. Wyznaje on otwarcie, czego zresztą trudno było zataić, że mowa wyłącznym jest przymiotem człowieka i dotąd nie odkryto zwierzęcia, któreby mówiło. (O pochodzeniu człowieka, tom I. str. 48). Zamiast jednak oprzeć się na tym fakcie i dojść do koniecznego wniosku, że człowiek tylko myśli, a duch jego istotnie i zasadniczo różni się od najdoskonalszej nawet zwierzęcej umysłowości, ratuje się autor dawno oklepanym ogólnikiem » mowy zwierzęcej.«

Nigdy nie przeczesano, że zwierzęta potrafią wyrazić na zewnątrz i nam i sobie swoje wrażenia, uczucia i potrzeby, a zwierzęta swojskie zdają się nawet rozumieć, co do nich pan ich mówi. Któż nie zna także rozmaitości psiego głosu, ile przeróżnych tonów to stworzenie ze siebie wydobyć umie, aby wyrazić radość, strach, złość, niecierpliwość lub żal. A znowu różne psie gatunki mają jakoby swoje odrębne narzecza: granie ogarów, skomlenie wyźłów, krótkie urywane szczekanie psów owczarskich są odmiennymi typami psiego stylu i psiej mowy.

A gdyby kto chciał puścić wodze wyobraźni w zawody ze słynnym amerykańskim zoologiem Agassi z'em, który z ryku różnych gatunków niedźwiedzi, szukał ich wspólnego pochodzenia, mógłby także i w różnych psich głosach szukać pierwotnego szczekania wilka lub szakala, tak jak dzisiaj gramatyka porównawcza grecki język i sanskryt wyprowadza z dawniejszego wspólnego

języka, lub jak narzecze romańskie wyrodziło się z łaciny cycerońskiej. Idąc tą drogą, doszlibyśmy oczywiście tam, gdzie doszedł p. Agassiz, do niedorzeczności.

Co ważniejsza, że nawet człowiek (i na to autor wielki przycisk kładzie) swoje uczucia i wrażenia, zwłaszcza gdy są żywe, wyraża tak jak zwierzęta, krzykiem i giestykulacją. Czyż jednak stąd wynika, że mowa nie różni się od krzyku i giestykulacji, i że mowa ludzka i krzyk zwierzęcy różnią się tylko, jak autor myśli, większą lub mniejszą doskonałością, nie zaś w samej swój istocie? czy rzeczywiście pierwsza mogła powstać z drugiego?

I tu już wypada nam towarzyszyć autorowi w błędnym bujaniu jego wyobraźni przez pierwsze metamorfozy mowy ludzkiej. Opowiada nam uczoney Anglik, że, z początku, nasi pierwsi prarodzice, tak jak dzisiaj jeszcze niektóre gibony (rodzaj wielkich małp) nadawali ryczeniu swemu pewien spadek muzykalny, pewną melodyją. Gdy więc nadchodziła wiosna, praojcowie nasi wabiąc samice, które korzystając z emancypacji leśnej republiki, niepozbawionej jeszcze żadnej swobody, zapewne chodziły uzbrojone w potężne maczugi i pałki, praojcowie więc śpiewali, czasem gorzej, czasem lepiej, według tego, czy byli mniej lub więcej zakatarzeni, rozmaite aryje, zawodzili trele, tłumacząc czułą melodyją, gwałtowne poruszenia zakochanych dusz, lub potężniejszymi tony bojaźń, gniew i zazdrość, a wreszcie może i tryjmf nad nienawistnym rywalem.

W innych znowu chwilach, zwłaszcza w lecie, gdy gdzieś, pod cienistym drzewem, ległszy do góry napełnionym brzuchem, i z nudów nie wiedząc co począć, tak sobie, dla rozrywki, jak dzisiaj szpaki lub kosy,

naśladowali innych zwierząt głosy. Nie była to jeszcze mowa, ale już było wszystko do niej gotowe.

Wystawmy sobie, idąc dalej za tą wstrętną bestyjną sielanką, trzodę przodków naszych, pasącą się gdzieś w wąwozie. Oczywiście nie była ona głupsza od trzody pawijanów, która regularnie swoje koczowisko obstawia czatami. Te z wytężonym słuchem i wzrokiem patrzą, z wywyższonych stanowisk, czy nie grozi gdzie niebezpieczeństwo, a ledwo je dojrzą, dają sygnał trwogi. Wtedy cała czereda zrywa się i puszcza się cwałem w przeciwną stronę. Tak robią po dziś dzień małpy i tak więc robili z pewnością nasi pierwsi przodkowie: różnica cała w tym, że małpy pozostały na tym samym stopniu oświaty, na którym były niegdyś, a ludzie, rasa postępową, w której drzemał zwierzęcy gienijusz tyłu przyszłych pokoleń, z stanu pierwotnego poskoczyli na szczybel duchowej, niemal boskiej cywilizacji.

Jak się to stało? Rzecz prosta. Wyobraźmy sobie tylko, że w pasącym się stadzie przodków naszych »nadzwyczaj mądra« (są to słowa autora) bestyja, jakiej ani przedtem, ani potem nigdy już w rodzie zwierzęcym nie było, miała pomysł szczęśliwy zastanowić się ze skutków nad przyczyną, t. j. miała po prostu gienijalny pomysł zacząć myśleć i zamiast tym samym zawsze krzykiem zapowiadać wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwo, poczęła naśladować ryk lwa, ile razy król zwierząt się zbliżał, a wycie wilków, ile razy te się pojawiły.

Pomysł ten okazał się praktycznym, został naśladowany, wreszcie przyjęty przez wszystkich. A że gromada przodków naszych zawsze była niegłupia i pojęła całą ważność tego wynalazku, dała sobie zaraz

słowo, zachować go w tajemnicy przed innemi zwierzętami i odtąd szedł dalej rozwój swoim trybem.

Odtąd podobne krzyki, stale oznaczające jakieś zwierzę lub inny przedmiot, zamieniły się w rzeczowniki i pierwszy słownik był gotowy. Wszak takie onomato-poetyczne naśladowania i w późniejszych wiekach dały nieraz początek słowom po dziś dzień używanym. Z nudnego ku-ku, zrobiła się kukułka, a z przeraźliwego mi-au, powstało miauczenie. I tak, najłatwiej w świecie, ułożyła się mowa ludzka i taka jest, wedle autora, tajemnica jęj genezy. (O pochodzeniu człowieka, tom I. niem. wyd. str. 47 i nast.)

Ile razy wniosek jakiś jest niedorzeczny a konieczny, niewątpliwie przesłanki jęj są fałszywe. Sprawdza się to na hipotezie Darwina. Wniosek, do którego doszedł, jest nieubłagany, konieczny. Przyjąwszy bowiem materjalistyczną zasadę, że wszelkie życie organiczne powstaje z przypadkowego zbiegu sił mechanicznych i chemicznych, a zwierzę jest tylko rośliną dalej rozwiniętą, musiał postąpić krok naprzód, i człowieka nazwać bestyją uszlachetnioną. A jeżeli to prawda, mowa ludzka inaczej powstać nie mogła, jak z głosów zwierzęcych, i jest, po prostu, uszlachetnionym ryczeniem. Ponieważ wniosek ten jest równie konieczny jak niedorzeczny, musi więc hipoteza cała być niedorzeczną, a stąd mamy nowy dowód fałszywości doktryny materjalistycznej.

Niedorzeczność zaś powyższego wniosku, jeżeliby jeszcze komu była wątpliwą, i z psychologii i z lingwistyki porównawczej z łatwością dowieść się daje. Pogląd Darwina bowiem na powstanie mowy ludzkiej rezultatem tych dwóch umiejętności zupełnie się sprzeciwia. A najprzód, co do psychologii, chociaż w téj

umiejętności wiele jest jeszcze nieporozumień, wiele różnic w mniemaniach, wiele chwiejnych twierdzeń; — wszyscy jednak, którzy się nią zajmują, w dwóch punktach zgadzają się zawsze: najprzód, że istotą myślenia są pojęcia ogólne (*ideae universales*), powtóre, że żadne zwierzę nie posiada pojęć ogólnych, czyli, innemi słowy, żadne zwierzę nie myśli. Człowiek, takie same, co do natury, ma ciało i zmysły jak zwierzęta, i przez nie, jak one, odbiera wrażenia bez ustanku. Ale podczas, gdy życie umysłowe zwierząt zawiera się wyłącznie we wrażeniach, i niemi się karmi, i na nich się kończy, człowiek, po nad sferą zmysłową i po nad różnorodnością wrażeń, posiada życie duchowe i jednolite myślenie; a chociaż dwie dziedziny życia na siebie wzajem oddziałują, nie przestają mimo to mieć swęj odrębności, tak jak dusza i ciało, w jedność fizyczną spojone, dwa oddzielne stanowią jestestwa.

I stąd pochodzi, że wrażenie i pojęcie dwa różne zupełnie są twory: pierwsze przeważnie zmysłowej jest natury, drugie, zupełnie duchowe. Zwierzę, pozbawione ducha, nie ma ani pojęć, ani nie myśli; odbierając ze świata zewnętrznego jedynie zmysłowe, jednostkowe wrażenia, żyje i obraca się w ich mglistym zmroku. Człowiek przeciwnie, wszystkie wrażenia, drogą zmysłów do duszy napływające, zbiera w umyśle, w ognisku pojęć ogólnych i przeistacza w słowa.

A jak wrażenie i pojęcie w zupełnie różnych krajinach się rodzą, tak i kształt ich zewnętrzny zupełnie jest różny. Wrażenie wydobywa się na zewnątrz krzykiem, lub giestem, lub innym naturalnym znakiem, a pojęcie objawia się znakiem sztucznym, arbitralnym — słowem. Wykrzyknik słowem nie jest, tak jak i giest, który mu towarzyszy. Najlepiej ścisła ta różnica oka-

zuje się w saméj mowie, gdzie pojedyncze słowa łątwo, naturalnie, w zdania się wiążą, podczas gdy wykrzyknik nigdy się nie zrasta z organizmem zdania, lecz w nim, jak obcy przybysz, zupełnie luźnie się mieści.

Inaczéj być nie może. Wykrzyknik wtóruje wyłącznie chwilowym uczuciom lub wrażeniom, podczas gdy słowo jest ich wszystkich wspólnym mianem, i, że tak powiem, uduchowionym wyrazem. Wykrzyknik może być bezwiednym i bezmyślnym, często nawet wbrew woli z piersi się nam wyrывa, i wtedy właśnie zupełne ma podobieństwo z głosem zwierząt. Niezliczone wykrzykniki tego rodzaju, po sobie powtarzane, nigdy zdania nie utworzą, nigdy myśli nie wypowiedzą, bo na to potrzebaby, aby akt cielesny, fizyczny, jakim jest bezwiedne i mimowolne wydanie głosu w skutek fizycznego wrażenia, przemienił się nagle w pojęcie tegoż aktu. A to pojęcie wymaga refleksyi, wymaga przejścia ze skutku na przyczynę, wymaga, by umysł samowiednie i dobrowolnie połączył te dwie rzeczy tak, by zawsze skutek, t. j. pewien krzyk arbitralny, był dobrowolnym wyrazem przyczyny, t. j. tego właśnie przedmiotu, który owo wrażenie wywołał. Dopóki cud ten nie nastąpi, dopóty wykrzyknik i słowo pozostaną tak daleko od siebie, jak dalekim jest miauczenie kota od ogólnego pojęcia kota, które człowiek ma w umyśle. I ani miauczenie wszystkich kotów razem nie potrafi samo przez się tego pojęcia w jakiejś duszy stworzyć, ani człowiek go nie utworzy naśladowając bezmyślnie to ich miauczenie, lecz na to potrzeba samodzielnego aktu ducha myślącego, aktu różnego zupełnie od owych objawów fizycznych.

Jeżeliby ktoś zrobił uwagę, że niektóre wykrzykniki człowieka są ujęte w pewien umówiony syste-

mat, i wciągnięte niejako do aktu wyrażenia myśli, tak, że się nieco do słów zbliżają, nie świadczy to bynajmniej przeciw naszemu twierdzeniu. Dowodzi to tylko, że duch ludzki i na tym nawet, co ludzie mają wspólnego ze zwierzętami, piętno swoje wyciska. U zwierząt nie może być w wykrzyknikach zbliżenia do słowa, bo nie ma wpływu słowa, a nie ma wpływu słowa, bo zwierzęta nie mają nic, oprócz wykrzykników. Stanowczo więc twierdzić możemy, że wykrzyknik i słowo, tak jak zmysłowe wrażenie i duchowe pojęcie, różnią się, nie jak Darwin mniema, tylko w ilości, lecz w jakości, w istocie, w najgłębszej swój naturze.

Do tego samego rezultatu dochodzimy radząc się lingwistyki. Ktoby chciał wyczerpać ten przedmiot należycie, niech się uda do doskonałych odczytów M a k s a M ü l l e r a: »o umiejętności języka;« znajdzie tam i głęboką erudycją, i jasne poglądy. Nam tutaj wystarczy kilka uwag pobieżnych.

Na wstępie zaraz przyznajemy, że niewątpliwie i wykrzykniki i naśladowanie głosów zasłyszanych w przyrodzie, posłużyło duchowi ludzkiemu do utworzenia pojedynczych wyrazów. Każdy język posiada ich kilkadziesiąt, a czasem więcej jeszcze. Ale jeżeli już szczerła ich liczba dowodzi, jak małą rolę odgrywają wspomniane źródła w tworzeniu się języka, to bardziej jeszcze dowodzi podrzędnego ich znaczenia pewna sztywność i obcość wśród innych wyrazów. Niezmierna za to więk szość źródłosłów do żadnego brzmienia przyrody sprowadzić się nie daje, bo któż n. p. odkryje jakieś podobieństwo między nazwą konia lub kota, lub krowy, lub psa z głoskami tych zwierząt? Mówią, że »cukier« już brzmieniem swoim słodczy wyraża, bo zapomniano, jak dowcipnie nasuwa M a k s M ü l l e r, że pochodzi

z łacińskiego *saccharum*, a to znowu z sanskryckiego *sārchara*, które, doprawdy, nie brzmi ani tak przyjemnie, ani tak słodko. W końcu ta garstka słów utworzonych onomato-poetycznie, lub z wykrzykników, najczęściej nie tworzy żadnych słów pochodnych, i wyróżnia się tą właściwością od reszty źródłosłów.

Ale analiza porównawcza języków zrobiła większe odkrycie. Gdyby hipoteza materyjalistyczna była prawdziwa, powinnyby wszystkie wyrazy, na kształt głósów zwierzęcych, oznaczać indywidualne uczucia, wynikające z pojedynczych i szczegółowych wrażeń. Tymczasem rzecz się ma przeciwnie. Źródłosłowy, owe najprostsze i ostatnie wszelkiej mowy składniki, nie mają w sobie nic jednostkowego, nic szczegółowego, lecz każdy jest pojęciem ogólnym, obejmującym niezliczone mnóstwo wrażeń pojedynczych i osobistych.

Sądzę, że kilka przykładów rzecz lepiej wyjaśni. »Miesiąc« ma wspólne pochodzenie z łacińskim „*mensis*“ i „*metior*“ mierzę, był więc czasomiarrem. Gdy szukamy pochodzenia wyrazów: »mąż,« „*mann*,“ „*mensch*“ »mężczyzna« i sanskryckiego „*manu*,“ odpowiada gramatyka porównawcza, że pochodzą z „*man*,“ w sanskryckim myśleć, stąd mąż-myśliciel. Gdy zestawimy jednoznaczące wyrazy: „*marta*“ (w sanskr.), „*brotos*“ (w greck.), „*mortalis*“ i »śmiertelny,« otrzymamy wspólny źródłosłów „*mri*“ mrzecz, znowu pojęcie ogólne. Analizę podobną zastosowano do bardzo wielkiej liczby wyrazów, i pokazało się, że najdawniejsze ich źródła, po za które posunąć się już nie można, zawsze wyrażają pojęcie ogólne. Nie wiem, czy się co bardziej sprzeciwia teoryi materyjalistycznej. I dlatego słusznie powiedział Maks Müller, że jednostki poznajemy zawsze

zapomocą pojęć ogólnych, i że pojęcia ogólne są pierwsze w wiedzy naszĳ, a pojęcia jednostek są drugie.

Gdy teraz zbierzemy w jedno dotychczasowe uwagi, pokaże się, że myślenie i połączona z nim mowa, stanowią zasadniczą różnicę między człowiekiem a zwierzęciem, a różnica ta nie jest w ilości, lecz w zupełnie odmiennĳ jakości. Jest zatem w człowieku coś, co jest główną, najważniejszą nawet jego własnością, a czego zwierzę nie posiada ani śladu; jest coś, czego podobieństwa nawet nie odkryto w żadnĳ innĳ istocie, prócz u człowieka.

Dwie istoty, różniące się tak w swojĳ wewnętrznej naturze nie mogą więc, żadnym sposobem, być ze sobą spokrewnione, i nie mogą, w klasyfikacji historii naturalnej, do jednego należeć działu. Jeżeli w tĳ nauce minerał został oddzielony od rośliny, dlatego, że roślina ma organizm, którego nie ma minerał; jeżeli roślina została oddzielona od zwierzęcia, bo zwierzę ma czucie i ruch samoistny, którego nie ma roślina; słuszna, żeby i człowiek był raz na zawsze oddzielony od zwierzęcia, bo zwierzę nie ma myślenia i nie ma mowy. Nie to bowiem, co jest wspólne służy do postawienia głównych działów klasyfikacji, ale to właśnie, co jedną grupę stworzeń od drugich stanowczo odróżnia, a śmiesznością jest szukać różnicy w drobnych i mało znaczących szczegółach u istot, u których różnica cech najgłówniejszych sama bije w oczy.

Zarzuci nam niejeden, że zasady nasze, w sobie może dobre i słuszne, w praktyce okazałyby się niekoniecznie dogodnĳmi, bo, idąc za niĳmi konsekwentnie, wypadnie człowieka wyłączyć zupełnie z podręczników zoologii, a wtedy z dwojga jedno: albo wcale o nim

mowy nie będzie w szkołach, i przyjdzie do tego, że młody abituryjent nie będzie znał anatomicznej i fizjologicznej budowy własnego ciała, albo też stanie się ono przedmiotem osobnej nauki, a wtedy opisową anatomiją, zwykły do każdej zoologii początek, będzie trzeba na nowo powtórzyć przy nauce o człowieku. A jednak trudno zaprzeczyć, że człowiek z ciała swego zupełnie podobny do wyższych gatunków zwierząt, że z tym najstósowniej i najpraktyczniej byłoby opisać go razem z niemi.

Za zupełnym wypuszczeniem nauki o człowieku w szkołach średnich bynajmniej nie jesteśmy, a zarzut straty czasu, który tak bardzo przemawia do dzisiejszych umysłów, szukających przedewszystkiem ilości a nie jakości wiedzy, jest ze wszech miar niesłuszny. Bo, najprzód, już z tego, co dotąd mówiliśmy, wypływa, że na tej samej zasadzie możnaby przyłączyć botanikę do mineralogii, gdyż w obu królestwach jest mowa o własnościach tej samej materii, a bardziej jeszcze zoologiją do botaniki, bo i tu i tam mowa o komórce, o organizmie, i o zupełnie podobnym życiu wegetacyjnym. A tym sposobem zatarłby się wszelki naturalny system i porządek, i umiejętność, jeżeliby coś podobnego umiejętnością jeszcze nazwać można, nadzwyczajnieby się utrudniła, i tym samym uczniowi więcej czasu zabrała.

Ale nie idąc nawet do ostatecznych, tak rażących następstw fałszywego wyjścia, wszyscy wiemy, że niezmierny pożytek, jaki wynosi młody człowiek z porządnego ułożenia swych pojęć, jest rzeczą najważniejszą w nauce, że wobec tego pożytku ustąpić muszą wszelkie inne względy, i ustąpićby też musiał wzgląd na stratę czasu, gdyby skądinąd nie było rzeczą pewną,

ze go więcej potrzeba, by rzecz jaką źle ułożyć i potem przekładać, niżby ją dobrze ułożyć odrazu.

Że u każdego, zdrowo myślącego, pojęcie człowieka zupełnie jest różne i nierównie wyższe od pojęcia zwierzęcia, nie ulega żadnej wątpliwości, to też już samo postawienie tych dwóch istot na równi, obok siebie, nie może się odbyć bez zadania gwałtu młodemu umysłowi. Zaniepokojonym uczniom powiada się przytym, że tu nie ma mowy o człowieku w ogóle, ale tylko ze stanowiska zoologicznego, o ile tenże jest zwierzęciem. Tu już zapytalibyśmy, dlaczego nikt nie traktuje o lwie lub koniu ze stanowiska botanicznego? Bo żaden naturalista nie wątpi, że te istoty w części z tego stanowiska traktowaneby być mogły. Dlaczego wszystkie stworzenia stawia się w całości pod główne działy klasyfikacyi, a co więcej, dlaczego dla nich ułożono te działy tak właśnie, by każde mogło w całości znaleźć w nich pomieszczenie, a jeden tylko człowiek rozkawałkowany i tak upośledzony, że musi figurować jako przyczepka w dziale, do którego, według wyznania samychże autorów owych podręczników i samych p. p. nauczycieli, w całości nie należy? Ale nie na tej niekonsekwencyi rzecz się kończy.

Fałszywe założenie mści się we wszystkich następstwach, i człowiek, o ile jest zwierzęciem, dlatego właśnie, że jest czymś więcej, a raczej czymś innym jak zwierzę, w zwykłych szkolnych podręcznikach zoologii nadzwyczaj smutną odgrywa rolę. Opisuje się tam jego skład ciała, barwę, włosy, dają się niektóre znamiona różnicy ras, których liczba zresztą bynajmniej dotąd nie jest ustalona, i na tym wszystko się kończy. Przeciwnie zwierzęta, traktowane są *con amore* i wyczerpująco. Mówiąc o nich nie opuszcza się żadnych ważniej-

szych właściwości ich natury, i żadnych szczegółów życia »towarzyskiego« i »umysłowego,« te bowiem, w uczących się, najwięcej budzą interesu. Mówi się tam o gospodarności mrówek, o pilności pszczół, o sejmikach bocianów, o czatach żurawi, o miłości małp do swego potomstwa i o architekturze bobra. Jak się wobec tego wydaje człowiek-zwierzę, przy którym wszystkie szczegóły jego towarzyskiego i umysłowego życia, jako do zoologii nienależące, zupełnie są pominięte, — łatwo sobie wyobrazić. To też od nudnych i suchych wiadomości o tym lichym stworzeniu, o którym się tak mało da powiedzieć, odwraca się uczeń z niechęcią i lekceważeniem, i przerzuciwszy stronnice, w których o człowieku mowa, wczytuje się tym pilniej w zwierzęta, które mu są podane w opisach żywych, w rozmaitych przygodach, z ciągłymi objawami sprytu, roztropności, rozwagi i rozumu, wmyśla się nawet w ich sytuacje, pojęcia, plany i zabiegi, a kto wie czy nie wzdycha nawet czasem do ich swobody!...

Cóż więc dziwnego, że, wychodząc ze szkoły, prawie nic o człowieku nie wie! Gdyby w zoologii nie było tych kilka kartek, może pomyślanoby o tym, by w innych gałęziach nauki, w filozofii, a mianowicie w psychologii, dać poznać młodym umysłom całą wyższość pana reszty stworzenia, pokazać im całą piękność tego mikrokosmu, i całą różnicę ducha od materii, myśli od sensacji. Ale zwykle, w szkołach średnich, filozofia albo wypuszczona zupełnie, albo redukuje się do kilku formułek suchych i niesystematycznych, o których się nawet po egzaminie nawet nie pamięta. Tak więc zdawałoby się mogło, że ta nauka o człowieku ze stanowiska zoologicznego jest właśnie na to, by uczniowie jak najmniej o nim wiedzieli. I to pono

jest przyczyną, dlaczego dzisiaj antropologija, ta historia naturalna człowieka, tak żywo wszystkich zajmuje, a sam ten fakt, że tylu ludzi tak chciwie pragnie uzupełnić tę próżnię swego pierwszego wykształcenia, świadczy niezbyt dobrze o szkołach naszych i o dotychczasowym ich systemacie. Ale i tu jeszcze nie kończą się złe jego skutki.

Jest bowiem znowu rzeczą pewną, że wszystkie pojęcia nasze o zwierzętach wzięte są pierwotnie z pojęć o człowieku. Wyrazy: gospodarność, pilność, czaty, sejmiki, architektura, tak jak i inne: spryt, roztropność, rozwaga, mądrość, miłość, plany i zabiegi — wszystkie wzięte z pola duchowego życia człowieka, i używane w życiu zwierzęcym jedynie w braku innych, przez analogiją, dla oznaczenia objawów, robiących nam wrażenie, odpowiadające do pewnego stopnia tym pojęciom. I stąd pochodzi, że powoli uczeń, któremu o zasadniczych różnicach człowieka i zwierzęcia nikt nigdy nie mówił, bezwiednie, z całą prostotą młodej, poczciwej natury, uczy się stawiać zwierzęta na równi ze sobą samym, zacięra powoli pamięć o tych różnicach, które mu jego własny zdrowy rozsądek dyktował, a jeżeli tylko zastanawia się, myśli i rozogólnia to, czego się nauczył, dojść musi prosto — do materyjalizmu.

Cóż dopióro, gdy, jak to się, niestety, często zdarza, sami nauczyciele, już stanowczo materyjaliści, w wykładach swoich zły ten systemat na korzyść materyjalizmu wyzyskują! Młody człowiek, którego umysł tą drogą się rozwijał, choć później postrzeże braki w wiadomościach swoich, chcąc je prędko i łatwo uzupełnić, a nie mając ochoty zaprzeczać temu wszystkiemu, co się stało owocem długiej jego nauki, woli zawsze chwycić się systematu, który go uczy poznawać człowieka

przez zwierzę, dobrze mu już znane, niż uciekać się do trudnych, a zupełnie mu obcych prac filozoficznych, i trudniejszego jeszcze prostowania swoich pojęć. I tu jest przyczyna, dlaczego materyjaliści, spekulujący zawsze na ciekawość ludzką, i widząc jak ponętną jest dziś sama nazwa antropologii, chwycili się tej umiejętności i potrafili zupełnie ją opanować; bo chociaż koryfeusze tej nauki nic z materyjalizmem wspólnego nie mają, ci jednak, którzy popularnie o niej piszą, najgrubszym materyjalizmem są zarażeni, i ci właśnie trafiają do wszystkich.

Tym wszystkim bolesnym skutkom nie można położyć skutecznej tamy, jak tylko zdrową nauką w szkole. Wyłączając człowieka z zoologii i robiąc go przedmiotem osobnej nauki, która czwartą i najważniejszą będzie po mineralogii, botanice i zoologii, przestaniemy gwałt czynić młodocianym umysłom, a natomiast wpoimy w nie szacunek przed podobieństwem bożem, które dzisiaj coraz bardziej się gubi, damy im poznać całego człowieka, z tém wszystkiém, co jest istotnie właściwe jego istocie, damy im dokładne jego określenie i naznaczymy mu stanowisko odpowiednie w rządzie innych stworzeń, i jego do nich stósunek. Słowem, tym tylko sposobem obdarzymy młodzież na drogę temi właśnie wiadomościami z dziedziny przyrody, które jej będą najbardziej potrzebne. Nietylko bowiem zaprzeczyć się nie da, że antropologija, między naukami przyrodniczemi, pierwsze zajmuje miejsce, ale nadto ta właśnie umiejętność, tak dziś żywo wszystkich zajmująca, jest przedmiotem niezmiernych usiłowań niedowiarków, by ją zaprawić swémi fałszami. Błędne formułki, na badaniu niby natury oparte, są teraz w powietrzu, i młody człowiek słyszy je głośno powtarzane wszędzie, gdzie

się obróci. Sprowadzenie tych fałszów do ich prawdziwego znaczenia i wykazanie co warte, jest więc dziś rzeczą niesłychanej wagi, a przeciw buntowniczym podszeptom materyi i jój ułudnym pokusom nie można dać młodzieży nic skuteczniejszego, jak talizman zdrowej krytyki, który będzie dla niej ścisłą miarą w rozróżnieniu fałszu od prawdy, urojeń od rzeczywistości, zmyślań od prawdziwych faktów, a naukowej blagi od prawdziwej nauki.



NAKŁADEM
WYDAWNICTWA DZIEŁ KATOLICKICH
Dra Władysława Miłkowskiego
W KRAKOWIE,


wyszły i są do nabycia następujące książki treści
filozoficznej:

Haffner Dr. — Materyjalizm nowoczesny. Z oryginału niemieckiego przełożył Władysław Miłkowski. 1871, str. 92, w 16-ce. Cena 2 złp. = 45 c. = 90 fenigów.

Laforet ks. — Dzieje filozofii starożytnej. Z oryginału francuskiego przełożył Władysław Miłkowski. Tom I, str. XII i 328 w 8-ce, i zeszyt pierwszy tomu II, (str. 56), 1873—1874, z przedpłatą na dwa tomy złp. 40 = 10 zł. austr. = 18 marek.

Pawlicki Stefan Dr. — Mózg i dusza. Wydanie drugie, poprawne i pomnożone. 1874, str. 126 w 8cc. Cena złp. 2 i gr. 15 = 50 c. = 1 marka.

Stoeckl A. Dr. — Logika. Z drugiego poprawnego wydania oryginału niemieckiego przełożył Władysław Miłkowski. 1874, str. 205 w 8-ce. Cena złp. 10 = 2 zł. austr. = 4 marki.

 Nadsyłający kwotę na jedno lub kilka dzieł powyższych wprost pod adresem wydawnictwa (Kraków, Rynek, 30) otrzymają żądane książki odwrotną pocztą, w poryłkach opłaconych.

W DRUKARNI LEONA PASZKOWSKIEGO
pod zarządkiem Józefa Łakocińskiego.